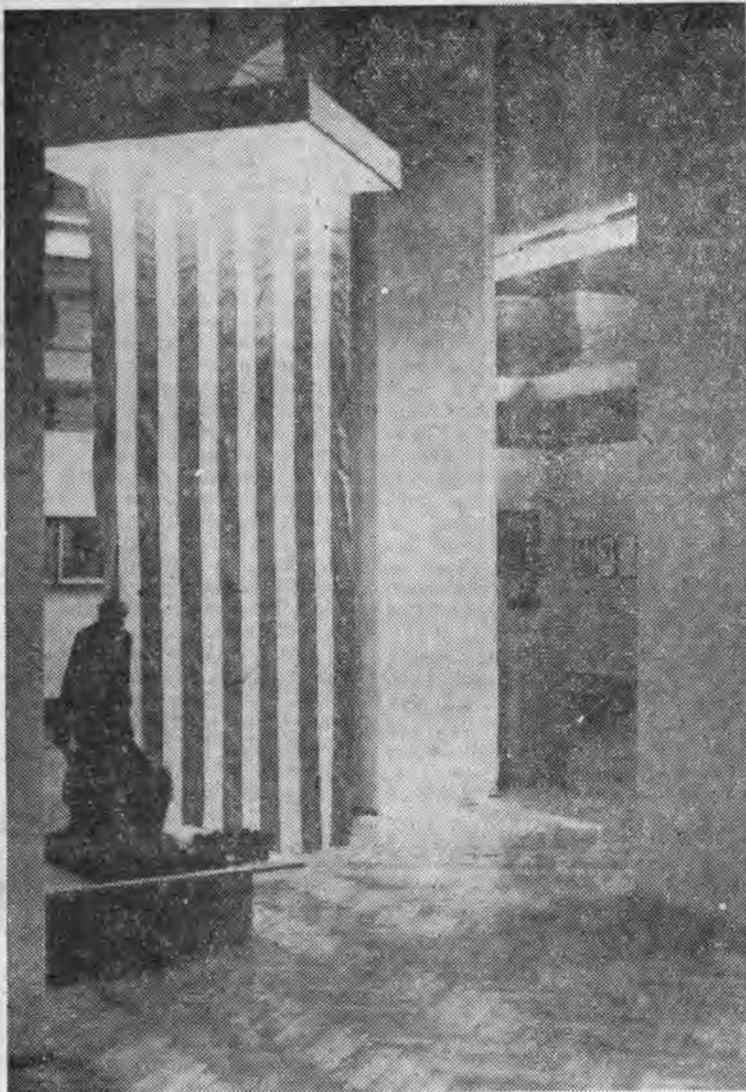


Jan Grygiel

PAMIĘĆ NIEZAGOJONA



Fragment wystawy „Oświęcim w sztuce” w Domu Sztuki w Rzeszowie.

Fot. M. KOPEĆ

Mogą zaleczyć się rany, zatrzyć blizny, zblednąć tatuowane numery na przedramionach — czas potrafi zmyć te ślady przeszłości. Pozostaje wciąż krwawiąca pamięć, zawsze żywy ból i przerażenie, gdy stykamy się z dokumentami terroru faszystowskiego w Polsce.

Na otwarcie wystawy „Oświęcim w sztuce” w rzeszowskim Domu Sztuki przybyło kilkudziesięciu ludzi. Oprócz działaczy, dziennikarzy i artystów byli tam również b. więźniowie obozów koncentracyjnych, stare kobiety, którym rozstrzelano synów i krewni pomordowanych. Ci ludzie odnajdywali wśród ekspozycji swoje listy, które przysyłali bliskim z obozu, swoje fotografie z kartoteki „przestępców”, znajome nazwiska na policyjnych ogłoszeniach o rozstrzelaniu „polskich bandytów” czy zdjęcia pierwszych transportów do Oświęcimia, na których odnajdywali siebie. Widzieli się płaczące stare kobiety i ponuro zamyślonych mężczyzn. W pierwszej sali zgromadzono dokumenty terroru okupanta z terenu rzeszowskiego. Ogłoszenia władz policyjnych i administracyjnych, fotografie egzekucji ulicznych w Rzeszowie, listy więźniów z obozu, telegramy zawiadamiające o ich śmierci oraz wspomniane już obwieszczenia o skazaniu na karę śmierci Polakach. Z każdego afisza, z każdego ogłoszenia okupantów grozi niewolnikom z Generalnej Guberni kara śmierci. Za pomoc dla Żydów, za ukrywanie polskich bandytów, za nieoddanie zboża na kontyngent, przynależność do tajnych organizacji, posiadanie broni i za sabotaż gospodarczy. Tyle tylko hitlerowski wymiar „sprawiedliwości” miał do zaoferowania Polakom. Nie były to czcze pogroźki. Tysiące ludzi ginęły pod murami straceń, w lasach, w piwnicach gestapo, więzieniach i obozach. Zabijano kulami, kijami, cyklonem B, spaliniami samochodów i głodem. — Oświęcim, gigantyczny kombinat śmierci, pochłoniął 4 miliony ofiar,

plonęły ciała więźniów w dziesiątkach mniejszych obozów na terenie Polski i Niemiec. Czy można o tym zapomnieć i wybaczyć? Widocznie istnieje granica zła i zbrodni, które czas może z pamięci ludzkiej wymazać. Tu ta granica została przekroczona. Ta przeszłość nie zatrzaśnie się mgłą zapomnienia. Ofiary Oświęcimia wołają do nas w dalszym ciągu spod ziemi tak jak to kiedyś usłyszał poeta:

„Spójrzcie! aż ziemia się wzdyma
tak krzyczą spod ziemi umarli.
A my ciągle jesteśmy z wami
my przy was, my z was, my za
was” *).

Za szkłem gabloty ostatni list do matki z obozu więźnia skazanego na śmierć.

„Jedynie we śnie jestem w domu i to często. Widzę Was przy stole, przy jedzeniu... Odejdziemy z tą myślą, że Wy będziecie wolni. Takie ofiary są potrzebne nawet za cenę życia. Jedni zginą, inni żyć będą. My uzyskamy wolność wcześniej od Was. Ten tydzień będzie dla nas rozstrzygającym, bo miesiąc po rozprawie, więc to oczekiwanie się już skończy. Teraz co do mieszkania... Proszę zlikwidować wszystko po nas... Tamci nieszczęśliwi już odeszli. Na drugi dzień chodziłem rozpoznawać placzki i rzeczy straceńców, i widziałem na ścianie spis wszystkich, imię i nazwisko, cechy charakterystyczne, za co straceni, skąd, wiek... Na końcu ośmiowiersz: „Czterdziestu nas żyło, czterdziestu pragnęło żyć”... Dokładnie już sobie wiersza nie przypominam... Nie przejmujcie się drożdzy naszym losem. Żegnaj Was Rodzice i wszystkich krewnych”.

Takich listów się nie zapomina, pozostają przy bliskich na resztę życia.

Jeśli istnieją granice zapomnienia, czy nie istnieją również granice sztuki? W drugiej sali Domu Sztuki

zgrupowano prace z zakresu malarstwa, rzeźby i grafiki na tematy oświęcimskie. Większość z nich jest owocem autopsji — tworzyli je artyści, którzy byli więźniami obozu; niektóre z nich powstawały nawet w tamtych latach udręki. Ksawery Dunikowski, Józef Szajna, Jerzy Adam Brandhuber, Marian Ruzamski, Mieczysław Kościelniak, Jerzy Potrzebowski, Władysław Siwek zostawili na płótnach i kartonach świadectwa czasu pogardy dla człowieka i dokumenty artystyczne ze swoich własnych przeżyć. Jeżeli te prace wzbudzają gwałtowne uczucia, to jednak swoimi wartościami pozartystycznymi — straszną literaturą zawartą w tych dziełach. Brak na tej wystawie na ogół prób syntezy tego zjawiska, jakim był Oświęcim, prób artystycznego uogólnienia czy wreszcie przetworzonej i zobjektywizowanej wizji. Żadna z prac właściwie nie wychodzi poza granice relacji, reportażu, narracji z określonych i konkretnych sytuacji życia obozowego. Obojętne czy twórcy posługują się konwencją skrajnego naturalizmu, czy syntetyzującego realizmu — skutek jest ten sam — otrzymujemy wiarygodny i wstrząsający dokument. Może jedynie obraz Jerzego Srokowskiego „Lalka porzucona na rampie” przemawia do widza nieco inaczej — środkami malarskimi, artystyczna wizja a nie fabuła. Nawet karton Pabla Picassa nie wnosi nic nowego. Jest to dość syntetycznie potraktowana głowa więźnia.

Trzeba pamiętać, że jest to tylko mała część oświęcimskich zbiorów sztuki. Może istnieje pełna artystyczna wizja przeżyć obozowych?

Ale nie ma chyba innej możliwości. Sztuka staje bezsilna przed takimi doświadczeniami ludzkości. Nie można ich ogarnąć, zobjektywizować, nie można wyjść poza formułę „dawania świadectwa prawdzie”. Jeśli sztuka jest sprawą ludzką, czy może się uporać z okresem czasu nieludzkiego?

Wystawa zorganizowana w 27 rocznicę Września i otwarta w dniu, który w roku 1939 był trzecim dniem okupacji hitlerowskiej w Rzeszowie, jest imprezą potrzebną i na czasie. Żyjemy w świecie, w którym pamięć o tamtych latach musimy przekazywać młodszemu pokoleniu. Dla przestrogi, dla uświadomienia, że naszego życia dzisiejszego nie otrzymaliśmy w podarunku. Dlatego należy się uznanie organizatorom ekspozycji: Państwowemu Muzeum w Oświęcimiu, Muzeum Okręgowemu, Biuro Wystaw Artystycznych i Zarządowi Okręgu ZBoWiD w Rzeszowie i wysoka nota dla Andrzeja Smoczeńskiego za inteligentny scenariusz i przemyślane w każdym szczególe jej urządzenie.

* K. J. Gałczyński: „Requiem”.

DZIŚ, w sobotę 17 września o godz. 20 w wypełnionej, jak rok rocznie, do ostatnich miejsc sal Filharmonii Narodowej — rozpocznie się X Festiwal Muzyki Współczesnej „Warszawska Jesień”. Tu można by z miejsca dorzucić słówko tak lubo nam — Polakom: „jubileuszowy”. Uwielbiamy przecież świętowanie, gdy jest okazja, gdy... jej nie ma. A festiwal, to już uroczysty przegląd — święto samo w sobie! Ale nie dlatego przytoczę słowa prof. dr Stefana Sledzińskiego — prezesa Związku Kompozytorów Polskich (organizatora imprezy) wypowiedziane niedawno na konferencji prasowej: „10 lat — dużo i mało; w życiu człowieka to zaledwie okres szkoły podstawowej”.

„Muzyka współczesna” — pojęcie bardzo szerokie. Muzyka nowa? Poszukiwanie przez człowieka doby atomowej, drugiej połowy XX w. środków wyrazu artystycznego, sprawdzanie siebie i swej twórczości przez artystów, kompozytorów, muzyków... Kształtowanie nowej estetyki, krystalizowanie się innego odbiorcy sztuki... Na tym — z konie-

Franciszek Błoński

W MUZEACH

Zbliża się czas, w którym odbędzie się w Warszawie tak interesująco zaplanowany i przygotowany — jak to wynika z informacji prasowych i innych — Kongres Kultury Polskiej.

Cel i znaczenie, a głównie konsekwencje tego Kongresu stały się tematem ożywionych rozmów i dyskusji, które posiadają na ogół bardzo wyraźne odbicie w prasie zarówno codziennej, jak i periodycznej. Swe życzenia i uwagi wypowiadają nie tylko delegaci, wybrani na Kongres, którzy ze zrozumiałych pobudek coraz bardziej przejęli się stanem oświeceniowym w tej wielkiej manifestacji życia kulturalnego — a także kraj pod koniec obchodów Tygodnia Państwa Polskiego, ale i wszyscy, którym w zagadnieniu z różnych względów bliska jest i pewno każdy z nich — dostrzeżenie tychczasowe osiągnięcia i niedociągnięcia kultury i możliwości konkretnie wskazać, każdy też może sobie sprężyć z tego, czego jeszcze tu brak i co należy poprawić, każdy pragnie jak najlepszych warunków i możliwości dla rozwoju życia kulturalnego w najbliższej przyszłości, każdy też chciałby mieć jak najlepsze wyniki swej pracy na tym polu.

Kultura — to pojęcie bardzo ogólne i szerokie, w różnym aspekcie analizowane i definiowane. W kilkudniowych obradach kongresowych nie będzie chyba dość czasu na teoretyczne rozpatrywanie tego zagadnienia, a raczej słusznym będzie na podstawie dotychczasowych doświadczeń oraz fachowej, w dużej mierze praktycznej znajomości problematyki wytyczyć drogi wiodące w osiągalną przyszłość. Zrobiją to na pewno dobrze delegaci i inni uczestnicy Kongresu, zgrupowani w zasię-

gu swych szczególnych zainteresowań w kilkunastu komisjach problemowych, przewidzianych w programie Kongresu.

O czym będą radzić przedstawiciele muzeów oraz miłośnicy i opiekunowie zabytków? Pozornie wydawałoby się, że dorobek muzeów w dziedzinie kultury, a także oświaty, nauki i sztuki jest już tak poważny, iż nie ma potrzeby planować ich rozbudowy, zwiększania ilości i pozerzania ich działalności.

W rzeczywistości jednak można wskazać na różne dowody, które świadczą o stale wzrastającym znaczeniu muzeów, o rozwijającym się w społeczeństwie zainteresowaniu ich działalnością oraz o docenianiu ich przez władzę i decydujących czynników ich rozwoju. W 1966 r. znaczna część placówek kulturalno-oświatowych w naszym kraju, a także muzeów, posiadała już widocznych dowodów na to, że zwiększyła się z roku na rok ich liczba, dochodząca do 15 milionów osób zwiedzających muzea oraz różne wystawy muzealne organizowane w terenie.

Następnym dowodem — to coraz bogatsze wykorzystywanie masowych środków informowania społeczeństwa o działalności muzeów, a więc za pomocą licznych publikacji, jak katalogi, informatory, roczniki muzealne i inne wydawnictwa z tej dziedziny, a niezależnie od tego przez współpracę z prasą, radiem i telewizją.

Od kilku lat — zwłaszcza od czasu, kiedy przyjęło się u nas hasło „Muzea — Uniwersytetami Kultury”, zobowiązujące te placówki do rozwinięcia szerokiej działalności kulturalno-oświatowej w swym środowisku — można stwierdzić, że prasa

(CIĄG DALSZY NA STRONIE 2)

Maria Cecylia Guziołek



DIRYGUJE STANISŁAW WISŁOCKI

czności bardzo uproszczonym — tle „warszawskiej trybuny kompozytorskiej”, „muzycznej giełdy informacyjnej” i „światowym przeglądzie kierunków osiągnięć i dążeń artystycznych” — słowa o zdobyciu przez N o w e dopiero „szkoły podstawowej” jakoś silnie przemawiają do mnie. Na laury srebrne, złote i diamenty nadejdzie czas... Trzeba być jednak nadal, bo warto — uważnym i wrażliwym słuchaczem, pilnym obserwatorem i życzliwym przyjacielem imprezy, o której już wiadomo, że Warszawskie Spotkania Muzyczne w dniach złotej, polskiej jesieni pokazały światu, jaka jest polska muzyka i polscy artyści. Jej to głównie zawdzięczamy, że utwory naszych muzyków wykonywane są na 5 kontynentach i bodajże muzyka jest najwspanialszym ambasadorem Nowej Polski i jej kultury we wszystkich krajach.

„Warszawska Jesień” gotuje również młodym kompozytorom start, o jaki bez festiwalu musieliby długo walczyć, a walka ta nie zawsze kończyłaby się sukcesem. Cudzoziemcom natomiast warszawskie festiwale udowadniają, że dzieła o

światowym rozgłosie nie powstają na artystycznym utorze. Polska publiczność koncertowa nie jest bierną i obojętną masą, a jej kultura muzyczna pozwala na prawie bezbłędną selekcję ziarn od fajerwerkowych plew artystycznych.

Jaka będzie „Warszawska Jesień 66” przekonamy się na kolejnych 9 popołudniach i wieczorach muzycznych. Przyniosą one 16 imprez: 13 koncertów kameralnych i symfonicznych, 1 spektakl operowy, 1 przedstawienie baletowe i koncert muzyki elektronicznej z taśm.

Wykonawcami będzie 10 zespołów zagranicznych i 5 polskich oraz liczni soliści, wśród których bluszczą nazwiska światowej sławy pianisty, wielkiego Artura Rubeinsteina, radzieckiego wiolonczelisty — Mścislawa Rostropowicza, naszej skrzypkaczki, znakomitej Wandy Wilkowskiej i Bernarda Ładysza.

Aby statystyka była pełna dodam, że program koncertów obejmuje wykonanie łącznie 72 kompozycji z których 61 po raz pierwszy zabrzmiało w Polsce. 14 utworów, w tym dramat muzyczny Tadeusza Bairda pt. „Jutro” według Josepha Conrada (CIĄG DALSZY NA STRONIE 3)

W MUZEACH

(CIĄG DALSZY ZE STRONY 1.)

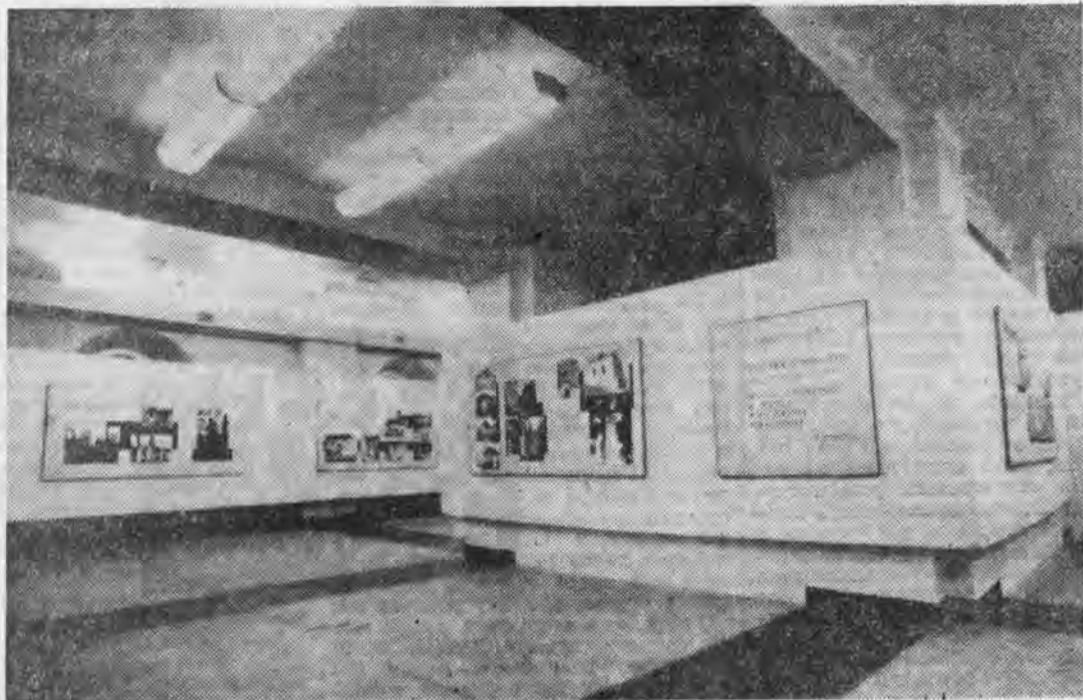
nasza dość często informuje czytelników o sprawach muzealnych. Przeprowadzona na ten temat za sierpień br. analiza treści 10 dzienników, ukazujących się w naszym kraju, dała interesujące wyniki, aczkolwiek sierpień, jako okres nasilonych urlopów wypoczynkowych i łączące się z tym ograniczenie działalności muzeów nie sprzyjało częstotliwości tych informacji.

Podając poniżej tytuły tych dzienników oraz w nawiasach ilość zamieszczonych informacji prasowych na temat muzeów, należy przedtem zaznaczyć, że informacje te mają

cyfrowa wizyta chętnie zwiedzają niektóre nasze muzea i zabytki architektury, podobnie jak i zagranicą ni uczestnicy międzynarodowych zjazdów i konferencji, organizowanych w naszym kraju. Wiadomości prasowe o wystawach organizowanych przez muzea, jak też o utworzeniu nowych placówek muzealnych zachęcają czytelników do ich zwiedzania.

Z pewnością budzą zainteresowanie czytelnika artykuły i reportaże o różnych muzeach, które znalazły pomieszczenie w odnowionych z wielką troskliwością zabytkowych obiektach, czy też o powstających w terenie muzeach budownictwa ludowego, czyli tzw. skansenach, albo o

cyfrowa dla niejednego jest np. kolekcja domowych zegarów wiejskich z tamtego czasu. Wszystko to zgromadzi i dalej obiecuje gromadzić miejscowi działacze społeczni, a więc nauczyciele i przedstawiciele gromadzkiej rady narodowej i młodzież zrzeszona w swej organizacji i miejscowa straż pożarna. Znalazła się też odpowiedzialna na te zbiory izba w starym domu ludowym i wykonany został potrzebny do przechowania tych eksponatów sprzęt, a w nowo budującym się wiejskim domu kultury przewidziane jest na te zbiory obszerniejsze pomieszczenie, (Prasa informuje, że takich wiejskich izb pamiątek założono już kilkanaście w całym kraju).



Wystawa muzealna w salach Domu Sztuki w Rzeszowie.

Fot. M. HADAŁA

różne rozmiary i ujęcia, począwszy od drobnych wzmianek poprzez obszerniejsze wiadomości aż do większych artykułów i reportaży, zilustrowanych czasem reprodukcją zdjęć muzealnych. Oto dane cyfrowe z następujących dzienników: Trybuna Ludu (29), Dziennik Ludowy (19), Kurier Polski (35), Głos Pracy (18), Sztandar Młodych (18), Życie Warszawy (14), Ekspres Wieczorny (22), Nowiny Rzeszowskie (14), Widnokrąg (10), Dziennik Polski (24).

W stosunku do ogólnej ilości informacji prasowych o sprawach kultury, wiadomości dotyczące muzeów były zamieszczane w analizowanym miesiącu sierpniu dość często. Najwięcej miejsca na swych łamach używała tematyce muzealnej Trybuna Ludu. Znalazły się tam nie tylko krótkie, pełne treści informacje dziennikarskie, ale także obszerniejsze artykuły na temat działalności muzeów, niekiedy również zagranicznych. Spośród cytowanych dzienników największą liczbę wiadomości o sprawach związanych z działalnością muzealną posiadał w tym czasie Kurier Polski. Również w Głosie Pracy znaleźć można było dość często obszerniejsze notatki na ten temat. Dziennik Ludowy podawał raczej drobne wzmianki w zbiorowych zestawieniach różnych wiadomości. Szczególnie warto tu podkreślić bardzo atrakcyjnie podawane wiadomości w Sztandarze Młodych, który wspólnie z Zarządzeniem Muzeów i Ochrony Zabytków ogłosił na swych łamach konkurs pt. „Poznajmy Muzea”, zamieszczając w ciągu sierpnia br. pięć ciekawych, bogato ilustrowanych, reportaży z różnych muzeów w Polsce. O rozmaitych przejawach działalności muzealnej informowały również oba dzienniki warszawskie, Życie Warszawy i Ekspres Wieczorny. Szczególnie dobrze zrobiony jest kalendarzyk w Życiu Warszawy, informujący wśród innych placówek kulturalnych, jakie muzea można w danym dniu zwiedzić w Warszawie, a jest ich tam 14 razem z oddziałami.

Nowiny Rzeszowskie wraz z Widnokragiem dość często informują czytelników o działalności muzeów nie tylko na naszym terenie, ale i także w kraju, a stałe zamieszczanie w kalendarzyku dla miasta Rzeszowa, jaką wystawę można aktualnie zwiedzić w Muzeum Okręgowym, jest bardzo dla tej placówki pomocne. Dziennik Polski na swej rzeszowskiej mutacji również często podaje drobne wzmianki o naszych muzeach, niezależnie od innych informacji oraz artykułów na temat muzeów wewnątrz numeru.

Z tych rozmaitych wiadomości prasowych o sprawach muzealnych czytelnik dowiaduje się np., że członkowie przedstawicieli różnych krajów, przybywający do Polski z ofi-

nowej formie upowszechnienia muzealnictwa przez tworzenie wiejskich izb pamiątek. Z prasy też może niejedną dowiedzieć się, ile pracy i środków finansowych, ile badań i zabiegów wymaga konserwacja cennych eksponatów i zabytków architektury. Niejednokrotnie też przy omawianiu spraw dotyczących rozwoju tak aktualnej dziś turystyki czyta się o tym, że i w tej dziedzinie muzea odgrywają poważną rolę.

Wśród tego rodzaju wiadomości prasowych znaleźć można niekiedy informacje na temat, jakie badania naukowe są prowadzone w muzeach, szczególnie w zakresie archeologii i etnografii, jakie są zamierzenia i jakie są możliwości rozwoju ich działalności lub też jakie niekiedy mają trudności i potrzeby. W związku z historycznymi rocznicami, a szczególnie w okresie kilku lat obchodów Tysiąclecia Państwa Polskiego, muzea służą zawsze swymi zbiorami, jak też i znajomością regionalnej problematyki oraz przyczyniają się swym udziałem do uświetnienia programu tych uroczystości. Wspomina o tym nieraz prasa w uznaniu za wkład pracy i uzyskane wyniki. Można też znaleźć w prasie wzmianki i o tym, że muzea współdziałają z organizacjami masowymi, młodzieżowymi, ze związkami zawodowymi w realizacji wspólnych zadań w zakresie szerzenia kultury i oświaty w społeczeństwie.

Ostatnio otwary się w naszym kraju nowe możliwości rozwoju muzeów, nowe drogi prowadzące do poszerzenia zainteresowań w społeczeństwie tą formą działalności, która pomaga do lepszego i pełniejszego zabezpieczenia wielu materialnych i dokumentalnych wartości, która przyczynia się do włączenia szerokiego mas ludności nie tylko w miastach, ale i na wsi do zainteresowań muzealnictwem.

Są to mianowicie tworzone w niektórych wsiach, czy w małych miasteczkach, w szkołach lub zakładach pracy tzw. izby pamiątek. Skromnie to się nazywa, ale warto pojechać i zobaczyć takie małe muzeum wiejskie, jakie powstało niedawno we wsi Bliźne, pow. Brzozów, w naszym województwie. Ile tam znalazło się bardzo oryginalnych, już zabytkowych przedmiotów z gospodarstwa domowego, stroju i różnych pamiątek po ludziach miejscowych, żyjących na wsi, a przecież w jakimś sposób uczestniczących nieraz w historycznych wydarzeniach naszego kraju, ile zebrano ciekawych dokumentów i pamiątek z okresu zaboru austriackiego i z czasów okupacji hitlerowskiej. Jakże interesująco przedstawia się tam zbiór różnych przedmiotów domowego użytku na wsi sprzed kilkudziesięciu lat, jak bardzo atrak-

cyjne do udostępnienia zabytkowych eksponatów do bezpośredniego oglądania, które już od lat znalazło swój najpełniejszy wyraz w umiejętnie przygotowanych ekspozycjach muzealnych, przyjęło się nie tylko w tych placówkach, ale coraz częściej i szerzej znajduje zastosowanie w innego rodzaju wystawach organizowanych przez rozmaite instytucje o podobnych celach, jak Biuro Wystaw Artystycznych. Wykorzystując coraz częściej te doświadczenia, placówki gospodarcze organizują wystawy czy targi z przedmiotami produkcji przemysłowej, niejednokrotnie dla celów handlowych. Ale i tu na tym polu, muzea mają do spełnienia poważne zadanie. Świadczyć może o tym bardzo interesujące i często odwiedzane szczególnie przez młodzież Muzeum Techniki w Pałacu Kultury w Warszawie i kilka muzealnych obiektów dawnego rodzimego przemysłu, znajdujących się w miejscowościach w naszym kraju, jak m. in. skansen kopalnictwa naftowego w Bóbrce k/Krosna w naszym województwie.

Może niejednego z czytelników — o ile miał czas uważnie przeczytać Dziennik Ludowy nr 202 z sierpnia br. zacięła mała informacja tej treści: „W Stanach Zjednoczonych obserwuje się od kilku lat nową falę kulturalną: kurs na zakładanie i odwiedzanie różnego typu muzeów. Od roku 1950 liczba osób zwiedzających muzea wzrosła w 100 proc., co 3—4 dni otwiera się w USA jakieś nowe muzeum. Ogółem istnieje już w tym kraju 4495 tego typu placówek”.

Powyższa notatka informuje o wielkiej ilości muzeów w Stanach Zjednoczonych, ale nie wspomina o tym, że do tej kategorii instytucji zalicza się tam i wszystkie ogrody zoologiczne, i parki narodowe, różne ośrodki kultury w terenie dla młodzieży i dorosłych, a także różne zbiory naukowe na uniwersytetach. Dla sprawdzenia jednak tej informacji stwierdziłem, że w książce wydanej w 1965 roku w Nowym Jorku pt. „MUSEUMS, USA — A History and Guide” autorów Herbert i Marjorie Katz — podany jest wykaz istniejących tam muzeów w wyższym tego słowa znaczeniu w ilości 2236 placówek.

Jak wynika z powyższych uwag, przejawy życia kulturalnego stają się coraz więcej powszechną własnością, a wpływają na to masowe środki oddziaływania na społeczeństwo. I w tym zjawisku, traktowane z punktu widzenia celowości działania, znaleźć powinny swe uzasadnienie nasze dążenia do dalszego rozwoju i upowszechnienia działalności muzeów w naszym kraju.

FRANCISZEK BŁOŃSKI

Zdzisław Kozioł

Temat podejmuje z niemałą dozą tremy, bo jego zgłębienie, a przynajmniej — jak to się zwykło mówić — sensowne postawienie wymaga kompetencji medycznych. Jednostronne spojrzenie na problemy lecznictwa czy profilaktyki, jest źródłem wielu fałszywych ocen; wystarczy chociażby przysłuchać się rozmowom w kolejkach przed gabinetami lekarzy, aby uświadomić sobie rozmiar ignorancji przy powszechnym zacięciu do stawiania diagnoz, bądź też „weryfikowania” przepisanego przez lekarza sposobu leczenia. A jakie padają oceny dotyczące medycyny w ogóle!

Zachodzi zresztą wiele innych względów, dla których publiczne wypowiadanie się na te tematy wymaga szczególnej rozwagi i odpowiedzialności, wydaje mi się jednak, że dyskusowanie niektórych problemów, powinno wyjść poza środowisko lekarskie. Chodzi mi tym razem o śmiertelność niemowląt. Śmierć u progu życia wywiera szczególne wrażenie, dogłębnie porusza opinię publiczną; zdarzało się nawet, że w niejednym środowisku wywoływała panikę, zwłaszcza wówczas, gdy cień śmierci zbyt często pojawiał się nad kołyskami niemowląt.

Asumptem do tych uwag są wyniki badań polskich lekarzy oraz demografów, analizujących stan śmiertelności niemowląt. Dla prawidłowej oceny rozmiarów tego zjawiska, trzeba porównać sytuację sprzed lat oraz z innymi krajami. Otóż przed 30 laty śmiertelność niemowląt wynosiła w Polsce 140 promille. Dr med. Irena Krystofowicz stwierdza, że problem ten „od pierwszych lat odzyskania niepodległości jest w Polsce sprawą wagi państwowej” („Problemy rodziny”, Wyd. TSM nr 3 — 1966).

Postęp w tym zakresie syntetycznie ujął znany demograf prof. E. Rosset w pracy: „Opisze demograficzne Polski Ludowej”, w której pisze, że w latach 1950—1963 „...przyszło na świat w Polsce 10 193 tys. żywo urodzonych dzieci. Gdyby umieralność niemowląt utrzymała się na poziomie 1950 r. (wynosiła ona wówczas 111,2 promille), to z wymienionej liczby wydanych na świat zmarłoby w pierwszym roku życia 1 133 tys. Tymczasem statystyka nasza mówi, że zmarło ich tylko 799 tys. Uratowano więc od śmierci 334 tys. Taki jest plon walki z umieralnością niemowląt w latach 1950—1963”.

W latach 1950—1964 bezwzględna liczba zgonów niemowląt zmniejszyła się o 60 proc., podczas gdy bezwzględna liczba ogółu zgonów — o 17 proc. W 1964 r. współczynnik umieralności niemowląt, w porównaniu z rokiem 1950 obniżył się prawie 2,5-krotnie — do 47,3 promille, w ub. roku wyniósł około 40 promille, według zaś ostatnich danych Departamentu Matki i Dziecka Ministerstwa Zdrowia w I kwartale br. śmiertelność znów wzrosła o 4,1 promille.

Dr I. Krystofowicz dokonała porównań z innymi krajami. Z jej analizy wynika, że mimo poważnych wysiłków służby zdrowia i bezwzględnie dużych osiągnięć, śmiertelność niemowląt jest jeszcze w Polsce wysoka. W 1964 roku współczynnik poniżej 20 zgonów na 1 000 urodzeń żywych osiągnęły: Szwecja, Holandia, Norwegia, Finlandia, Dania, Szwajcaria. Do granicy tej zbliżają się także Anglia z Walią (bez Szkocji), a z krajów demokracji ludowej — Czechosłowacja. Wiele innych krajów, w tym także Bułgaria i Węgry, wykazują współczynnik w granicach 30—40 promille. Śmiertelność wyższą niż w Polsce notuje się w Rumunii, Portugalii, Jugosławii.

Do danych statystycznych jeszcze powrócimy, a obecnie kilka uwag o charakterze ogólnym. Wyłaniają się dwie zasadnicze sprawy: przyczyny śmiertelności oraz sposoby jej zwalczania. Z licznych badań, zarówno polskich, jak i zagranicznych, wynika, że problem ten absorbuje lekarzy, a także instytucje, które z medycyną nie mają pozornie żadnego związku, bo w wielu wypadkach źródła śmiertelności należy szukać nie w sposobie leczenia, lecz warunkach, w jakich znajduje się ciężarna kobieta czy matka noworodka, sieci placówek służby zdrowia, ogólnym poziomie społeczeństwa, w tym również w stanie oświaty sanitarnej itp., itp.

W literaturze naukowej, skądinąd mało zrozumiałej dla niefachowców, spotykamy pasjonujące — jeśli w tym wypadku określenie to

ŚMIERĆ

jest na miejscu — opisy dramatycznej walki o życie noworodka, nierazko jeszcze walki przegranej, jak np. w przypadku śmierci przedwcześnie urodzonego syna prezydenta USA, Kennedy'ego, którego nie zdołali uratować pediatri z Harvardu.

Z literatury naukowej wynika, że wśród lekarzy nie ma często zgodności poglądów co do sposobów zwalczania pewnych chorób, ale jak stwierdził jeden z amerykańskich autorów: „W przeszłości uczeni nieraz zbyt pochopnie ogłaszali uzyskane zwycięstwa, więc teraz nikt nie chce powtarzać starych błędów. Niemniej w kołach medycznych panuje optymizm spowodowany przekonaniem, że długotrwała walka obfitująca w tyle zawodów dobiega końca”.

W merytoryczne problemy zwalczania śmiertelności, niemowląt wdawać się nie będę, bo jak już powiedziałem, wymagają one znajomości medycyny. Interesują mnie w tym wypadku inne zagadnienia, zwłaszcza „geografia” śmiertelności. Zanim jednak o tych sprawach, jeszcze jedna uwaga, niejako na marginesie niektórych prac. Ich autorzy bardzo często posługują się statystyką, pisząc o chorobach, podają jakie zmiany spowodowały w poszczególnych organach zmarłego niemowlęcia. Statystyki dokonanych sekcji zwłok, omówione suchym, naukowym językiem, wywierają na postronnym czytelniku duże wrażenie, ale uświadamiają konieczność — jak to mawiają niefachowcy — krojenia zwłok. Piszę o tym dlatego, że często nieznaną jest tej konieczności lub zakorzenione przesady wywołują protesty, a pomijanie sekcji zwłok jako ich profanacji, jest przyczyną dodatkowego bólu po stracie dziecka...

40 zgonów na 1 000 żywo urodzonych, w porównaniu z sytuacją sprzed lat, świadczy o dużym postępie, ale „geografia” śmiertelności w naszym kraju skłania do refleksji, budzi niepokój, a równocześnie w pewnym sensie optymizm.

Optymizm, bo w miastach wydziałonych (Warszawa, Kraków, Poznań, Wrocław i Łódź) oraz kilku wojewódzkich, w tym także rzeszowskim, współczynnik umieralności niemowląt jest niższy od średniej krajowej. Niepokoi natomiast sytuacja w województwach, w których wskaźnik ten jest bardzo wysoki. Różnicowanie to jest jeszcze wyraźniejsze w przekroju powiatowym; w niektórych śmiertelność utrzymuje się na poziomie niższym od średniej dla przodujących w tym względzie państw europejskich, w innych natomiast dwukrotnie i trzykrotnie przewyższa średnią krajową. Dodac tu jeszcze trzeba, że w niejednym z powiatów przodujących zachodzi stale zmniejszanie śmiertelności, w innych zaś występuje tendencja rosnąca.

Wysokie różnicowanie obserwuje się także w miastach, np. śmiertelność w Sopocie wynosiła w 1964 r. 14,3 promille, a w Piotrkowie Trybunalskim — 80,7 promille. W niektórych miejscowościach sytuacja jest bardzo płynna, występuje wzrost śmiertelności bądź też wydatny spadek. By nie mnożyć przykładów, wystarczy wskazać, że w 1964 r. był tylko 1 powiat o wskaźniku powyżej 100 promille, 2 powiaty w granicach 90—100 promille oraz 12 powiatów — 80—90 promille (w tym 1 powiat w naszym województwie); łącznie w 15 powiatach zanotowano współczynnik powyżej 80 promille, podczas gdy w 1962 r. śmiertelność w tych granicach występowała w 26 powiatach.

Nastuwa się zasadnicze pytanie: czym jest spowodowane tak duże różnicowanie; pracą służby zdrowia? warunkami jakie jej stworzono?, stanem sanitarnym środowisk, czy wreszcie ewentualnymi epidemiami? Na pytania te nielato odpowiedzieć, zważywszy różnorodność przyczyn, niemniej przytoczone dane wyznaczają kierunek działania, i to nie tylko dla służby zdrowia...

Sporo wniosków nasuwa porównanie śmiertelności niemowląt w mieście i na wsi. Współczynnik zgonów na wsi obniża się w tempie tylko nieznacznie niższym, ale umieralność jest o 23 proc. wyższa niż w miastach. W niektórych

U PROGU ŻYCIA

regionach występują jednak proporcje odwrotne, np. w miastach woj. krakowskiego i katowickiego. Zasluguje to na szczególnie baczną uwagę, bo może zachodzić ewentualna współzależność między śmiertelnością niemowląt, a konsekwencjami industrializacji dla życia biologicznego, ale tego rodzaju hipotezę można podważyć np. bardzo niskim współczynnikiem umieralności w przemysłowym Elblągu czy Gliwicach. Przykłady te podają dla ukazania złożoności problemu.

Generalnie rzecz biorąc, główny wysiłek musi być skierowany na wies, nie tracąc oczywiście z pola widzenia miast, zwłaszcza w rejonach przemysłowych oraz tych, w których stan placówek służby zdrowia nie odpowiada wymogom współczesności. Kontynuując tę myśl, nasuwa się wniosek w sprawie nowych inwestycji dla potrzeb służby zdrowia, które często realizowane są w tempie, oględnie mówiąc, niezadowalającym, nie mówiąc o innych mankamentach. Ale to już temat oddzielny...

Na uwagę zasługuje również analiza przyczyn zgonów niemowląt. Np. w 1964 r. w pierwszym miesiącu życia zachorowało około 25 tys. noworodków, z których 10 tys. zmarło, w tym na zapalenie płuc — 4,8 tys., wady rozwojowe wrodzone — 2,4 tys., biegunki — 2,2 tys. Inne choroby spowodowały mniej niż jedną czwartą zgonów, a gruźlica, kiła wrodzona, tetecz, błonica i krztusiec zabijały rocznie około 200 noworodków. Najwięcej przypadków teteci występuje w woj. krakowskim; na drugiej pozycji znajduje się nasze województwo, co wiąże się z dużym odsetkiem porodów poza placówkami służby zdrowia. Śmiertelność z powodu biegunki wykazuje tendencję malejącą, a przyczyną tej choroby jest stan sanitarny oraz choroby pochodzenia jelitowego wśród ogółu ludności.

Różnice między poszczególnymi województwami dotyczą także wskaźników umieralności według przyczyn. I tak np. w zakresie zapalenia płuc występują 10-krotne różnice, a biegunki — 20-krotne. Zdaniem dr I. Krysztofowicza część zgonów wiąże się ze stanem opieki nad noworodkami w szpitalach i izbach porodowych oraz w domu, przeważają jednak przyczyny wynikające z niedostatecznej opieki nad kobietą w okresie ciąży i porodu.

Pogląd ten podziela dr Leokadia Grabowiecka, która na łamach tego samego numeru „Problemów rodziny” podejmuje medyczne oraz społeczne aspekty opieki przedporodowej nad kobietą ciężarną i przyszłym dzieckiem. Z rozległej problematyki na uwagę zasługuje stwierdzenie autorki, że mimo rozwoju sieci i usług placówek położniczo-ginekologicznych, opieka ta nie jest zadowalająca, bo objętością w 1964 roku zaledwie 53,6 proc. kobiet ciężarnych, a w woj. rzeszowskim — jeszcze mniej (48,3 proc.), co wiąże się z przewagą ludności wiejskiej; z opieki tej korzystają głównie kobiety zamieszkałe w miastach. Dr L. Grabowiecka wręcz twierdzi, że jej potrzeba nie znalazła zrozumienia w społeczeństwie, a może nawet wśród części pracowników służby zdrowia.

Szczególnie palącym problemem jest więc opieka nad ciężarną mieszkanką wsi, co wiąże się z szerszym zagadnieniem upowszechniania oświaty sanitarnej, rozwojem sieci placówek służby zdrowia, ich stanem sanitarno-epidemiologicznym, fachowością personelu itp. Nie wystarczająco jeszcze postęp czy zaniedbania w tym zakresie znajdują odbicie we wskaźnikach śmiertelności kobiet na choroby ciąży, porodu i położu; wśród zmarłych na te choroby 60 proc. stanowią właśnie kobiety wiejskie. Dodać tu jednak trzeba, że zgony z tej przyczyny wykazują w Polsce tendencję spadkową; wskaźniki są u nas niższe niż np. w Austrii, Francji, Finlandii oraz Niemczech zachodnich, w których w 1963 r. wyniósł 8,3 na 10 tys. urodzeń żywych, gdy w Polsce — 3,6 proc.

Przytoczone dane w pewnej mierze obrazują problem śmiertelności niemowląt, która w sposób zasadniczy zmniejszyła się w porównaniu z latami ubiegłymi, ale nie zapominajmy o niepokojącym zjawisku wzrostu w I kwartale br., a przede wszystkim, że w wielu krajach notuje się znacznie niższe współczynniki. A współczynniki krajów przodujących osiągnięto przecież w niejednym regionie Polski, co wskazuje na możliwości służby zdrowia, ale ważne są — podkreślimy to jeszcze raz — względy społeczne wynikające m. in. z ogólnego poziomu społeczeństwa, stanu oświaty sanitarnej, wytworzenia nowych tradycji.

ZDZISŁAW KOZIOL

O społeczną wagę działalności kulturalnej

Z okazji zbliżającego się Kongresu Kultury Polskiej zwróciliśmy się do redaktora naczelnego Rozgłośni Polskiego Radia w Rzeszowie, delegata na Kongres, Zygmunta Wójtowicza o wypowiedź na temat działalności środowiska dziennikarzy radiowych w upowszechnianiu kultury.

Sądzę, że przy okazji przygotowań do Kongresu Kultury Polskiej warto nieco uwagi poświęcić roli dziennikarzy w upowszechnianiu kultury. Tworzenie odpowiedniego systemu upowszechniania kultury i doskonalenie go w dostosowaniu do coraz nowych, rozszerzających się potrzeb i aspiracji społeczno-kulturalnych społeczeństwa, nowych awansujących środowisk społecznych — to jeden z głównych problemów, nad którym zapewne obradować będzie Kongres Kultury.

Naogół wszyscy wiedzą — że dziennikarze popularyzują sprawy kultury w prasie, że w programach radiowych zajmują one poczesne miejsce. Ale wcale nie jestem przekonany, że uświadomienie wagi pracy dziennikarzy jest tak powszechne, jakby się właśnie wydawało i to nawet wśród kierowników instytucji kulturalnych.

Dziennikarze są nie tylko reprezentowani w różnych towarzystwach, stowarzyszeniach regionalnych, komisjach rad narodowych, gdzie bardzo często wykazują wiele inicjatyw, ale także są sami organizatorami szeregu imprez o charakterze kulturalnym. Znaczący jest udział w ożywianiu życia kulturalnego Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich. Wystarczy wspomnieć chociażby o organizowanych corocznie imprezach z okazji Dni Oświaty, Książki, Prasy i Radia.

A teraz o samej działalności publicystycznej. Posłużę się w tym przypadku konkretnym przykładem. Jak wiemy, szczególnie cenne w naszym życiu społeczno-gospodarczym a także kulturalnym są wszelkie inicjatywy społeczne. Wiele

wspaniałych obiektów służących kulturze powstaje dzięki czynom społecznym organizowanym przez Komitety Frontu Jedności Narodu. Otóż tym społecznym poczynaniom szczególnie gorąco zawsze patronuje prasa i radio.

Sądzę, że w upowszechnianiu kultury w zakresie, jakim czyni to Rozgłoszenia Polskiego Radia w Rzeszowie, nie uchodzą uwagi również i inne, istotne sprawy związane z ożywianiem działalności kulturalnej. Jednym z od dawna już przyjętych kierunków naszej działalności antenowej jest popieranie rozwijających się lub powstających środowisk twórczych. Z przedstawicielami tych środowisk mamy — jak nam się wydaje — dobre kontakty. Ich twórczość reprezentowana jest m. in. w takich audycjach cyklicznych jak „Sygnały poetyckie” czy „Nowe książki rzeszowskich pisarzy”. Prowadzimy prezentacje wybijających się artystów plastyków, aktorów, reżyserów, muzyków.

Ze względu na szczerze jeszcze własne środowisko literackie korzystamy w dużym stopniu z dorobku pisarzy spoza regionu. Od kilku lat systematycznie prowadzimy cykl audycji z pisarzami, uczonymi, artystami odwieczającymi przy różnych okazjach nasze województwo.

Najwybitniejsze osiągnięcia środowisk twórczych Rzeszowa i województwa, a także sukcesy bujnie rozwijającego się amatorskiego ruchu artystycznego staramy się równocześnie prezentować na antenie ogólnopolskiej.

W dziedzinie muzyki nasza Redakcja Muzyczna poprzez kontynu-

wanie szeregu cyklicznych audycji jako zasadnicze kierunki przyjęła: upowszechnianie muzyki i kształtowanie gustów słuchaczy, wciąganie słuchaczy do aktywnego odbioru muzyki, popularyzację folkloru rzeszowskiego i polskiej muzyki ludowej, dostarczanie słuchaczom rozrywki w formie dobrej muzyki, piosenek polskich i obcych oraz w swych programach muzycznych specjalnych audycji słowno-muzycznych i estradowych. Staramy się znaleźć jakąś linię pośrednią, która by w pewnej mierze mogła zadowolić wszystkich. Jest to droga rozsądnego kompromisu, nie zawsze zresztą łatwego.

* Zdajemy sobie sprawę, że za przemianami w strukturze społeczno-ekonomicznej społeczeństwa następują zmiany w działalności kulturalnej, a przede wszystkim ogromne zapotrzebowanie na „dobrą kulturę”.

Dawne regiony odcięte ongiś od wpływu centrów kulturalnych zostały obecnie ogarnięte masowym wpływem środków upowszechnienia.

Przeobrażenia te określają więc nowe zadania również wobec radia.

Działalność kulturalna ciągle wymaga propagandy, której czynnikiem decydującym jest prasa, radio, telewizja, są dziennikarze, publicyści. W propagandzie tej chodzi jednak głównie o podkreślenie społecznej wagi kultury wobec ciągłego rozwoju techniki i gospodarki, a więc o pełne uświadomienie znaczenia kultury pracy, kultury obywatela, właściwych stosunków międzyludzkich itd. Rezultaty w tej dziedzinie przynieść może jedynie szeroko pojęta działalność. Są to sprawy, które znajdują swoje wyrażenie w kształtowaniu właśnie w okresie przygotowań do Kongresu Kultury Polskiej w naszym środowisku i radiowych programach.

Czesław Kiak

ŚLADAMI POSTĘPU

Po rewolucji lutowej we Francji w 1848 roku liberalne żywioły Europy południowej i środkowej podniosły bunt przeciwko politycznemu i społecznemu porządkowi usankcjonowanemu przez kongres wiedeński. Marcowe powstanie we Wiedniu i Berlinie, pozorna kapitulacja monarchów przed wzburzonym tłumem, który domagał się konstytucji, zmiany gabinetów, amnestii dla więźniów politycznych i wolności druku, pobudziły polskie

obozy polityczne na emigracji i w kraju do intensywniejszego działania. Na fali rewolucyjnego podniecenia w Poznańskim i Galicji doszło do krótkotrwałego rozwoju prasy politycznej jako różnej walki ideowej.

We Lwowie, który stał się ośrodkiem szczególnie żywych wystąpień przeciwko dotychczasowemu reżimowi, 15 kwietnia pojawiła się ulotka, zredagowana przez młodych literatów Karola Widmana i Jana

Zachariasiewicza, zapowiadająca nowe pismo pod znanym tytułem „Postęp”. W tym samym dniu z drukarni Franciszka Pillera wyszedł pierwszy numer anonsowanego periodyku. Bez szczegółowych badań trudno dzisiaj dokładnie określić profil i wpływ pisma na opinię publiczną. Jedno zdaje się nie ulegać wątpliwości: „Postęp” podjął zdecydowaną walkę z przeżytkami szlachetczyzny, walkę o prawa społeczne i polityczne dla ludu, chociaż, tak jak większość pism tego okresu, wysuwał i akcentował niesprawdzałą z punktu widzenia dialektyki dziejów koncepcję solidaryzmu społecznego. „My nie walczymy — pisał w 4 numerze — przeciw osobom, klasom, ale przeciw ich panowaniu, ich wpływowi, jeżeli te są zgubne dla kraju. Walczymy przeciw przewadze jednej kasty nad drugimi, ale nie żądamy wymiszczenia tej kasty. (...) Instytucje uprzywilejowane niechaj upadają, osoby niechaj zostaną”.

Mimo to, przenikliwość „Postępu” w ocenie przeszłości historycznej i chwili bieżącej niekiedy była zaskakująca. Oto próba ukazania negatywnej roli szlachty w procesie dziejowym: „U nas w Polsce bieg wypadków nieszczęsny wziął kierunek. Szlachectwo zapita i swawolna frymarczyła najświętszym dobrem narodu, bytem politycznym i utraciła ojczyznę do grobu”. Nawet konfederacja barska, dla wielu romantyków symbol szlacheckiego patriotyzmu i poświęcenia, została tu uznana za „ostatnie wysilenie szlachetności”. J. Kruszyński pisał: „Dziś np. u nas bardzo wielu uważa suknie starej szlacheckiej Polski jako suknie narodowe, dzisiaj w połowie XIX wieku konfederatka wielom puste głowy pozawracała, konfederatka, ten symbol rozprzegającej się i umierającej staroszlacheckiej Polski — bo inaczej konfederacji barskiej uważać nie możemy, jest to ostatnie wysilenie szlachetności”.

Otwarta niechęć do szlachty i jej dotychczasowych prerogatyw politycznych, społecznych i towarzyskich znalazła także wyraz w krytyce teatralnej. 12 kwietnia 1848 r. w teatrze lwowskim wystawiono dwie komedie: wznawianą od kilkunastu lat „Szlachtę czynszową” Jana Nepomucena Kamińskiego i niemniej popularny, w tym samym tonie utrzymany utwór Ludwika

(Ciąg dalszy na str. 4)

(Ciąg dalszy ze str. 1)
da uzyska do swego „zyciorysu” notkę: Prawykonywanie — Warszawa, wrzesień 1966”.

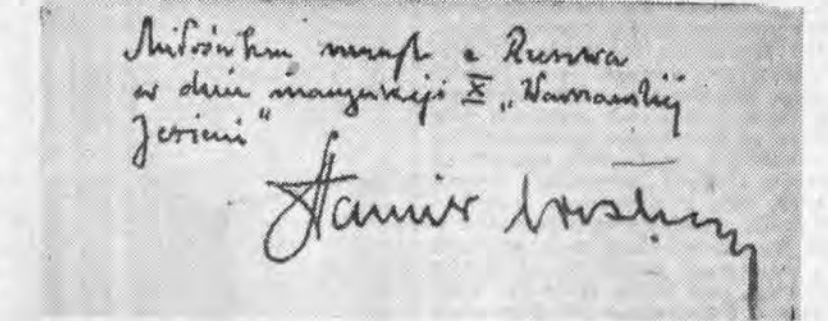
Koncert inauguracyjny X Festiwal Muzyki Współczesnej poprowadzi dyrygent Stanisław Wisłocki. Wykonawcami będą: Artur Rubinstein — fortepian, Zofia Rysiówna i Tadeusz Lomnicki — recytacja oraz zespół Filharmonii Narodowej. Program: Wariacje na orkiestrę smyczkową — Józefa Kofflera, IV Symfonia — Karola Szymanowskiego, Pasacaglia — Antona Weberna, Intergraes — Edgara Varesa i „Niobe” Kazimierza Serockiego.

Przed tygodniem, gdy w gmachu Filharmonii Narodowej atmosfera festiwalowa panowała w pełni — Stanisław Wisłocki czas przeznaczony na wypicie herbaty i przygotowanie się do dalszej próby z orkiestrą — pozwolił sobie wyrwać na rozmowę o rodzinnym Rzeszowie i sprawach dnia powszedniego.

Tak jest, urodziłem się w Rzeszowie, przy ul. Krakowskiej 1. Ten dom chyba jeszcze stoi! I wracam myślami do tego miasta tak często, jak często wraca się do okresu dzieciństwa i wczesnej młodości.

Ostatni raz byłem przed 3 laty, ale tylko przejazdem. Naturalnie musiałem chociaż pobieżnie zobaczyć nowe dzielnice. Niewiele pozostało z „Rzeszowa moich lat 1921—29”.

Później był Przemysł, studia we Lwowie u sławnego Seweryna Barabęga, a po „Wrześniu 1939” — Rumunia. Dobrze znam do dziś drogę z koczarskiej przy ul. Langiewiczza, gdzie mieszkaliśmy — do szkoły, która mieściła się przy ul. Krakowskiej (dziś Liceum Ogólnokształcące — dopis. MG) i swój pierwszy „występ” dyrygencki. Miałem niepełne 6 lat, gdy prof. Mirski pozwolił mi w próbie poprowadzić orkiestrę symfoniczną Towarzystwa Muzycznego.



— Więc dyrygenturę już wówczas jakoby los wyznaczył?

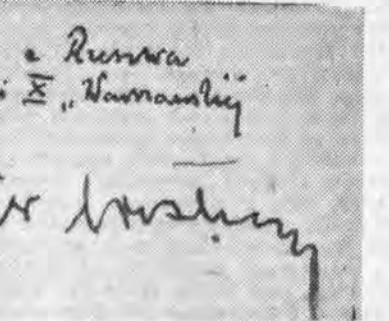
Pan Stanisław przytakuje zdradza swe znakomite poczucie humoru i dalej opowiada o gorącym okresie pobytu w Rumunii, gdzie występował jako pianista, kompozytor i dyrygent. (Pianistyczne studia wirtuozowskie ukończył w Konserwatorium w Timisoarze, dyrygenturę i kompozytorskie — tamże).

— Komponowanie od kilku lat zarzucałem. Po prostu brak czasu. Bezsprzecznie w dotychczasowych utworach zostałem wierny stronom rodzinnym. Nie ma w nich bezpośrednio muzyki regionu rzeszowskiego, bądź Rzeszowszczyzny, ale dominuje nastrój muzyki Małopolski.

— Obok pedagogiki (Stanisław Wisłocki jest docentem katedry dyrygentury Państwowej Wyższej Szkoły Muzycznej w Warszawie), dyrygentura pochłonięta na razie Pana całkowicie? Co Pana zdaniem jest najtrudniejsze w pracy kapelmistrza?

— Nawiazanie kontaktu z zespołem i to w jak najkrótszym czasie.

— Pod tym względem chyba jestem w „czepku urodzony”. Na ogół miałem szczęście do zespołów. Orkiestry, które gościnnie prowadziłem, zwykle były znakomicie przygotowane. Żadnych, szczególnych niespodzianek!



I ostatnie dwa pytania: Najciekawszy wyjazd? Kiedy przedstawił Pan swoją dojrzałą sztukę dyrygencką Rzeszowowi?

— Każdy kolejny wyjazd jest najciekawszy, pasjonuje. A w Rzeszowie wystąpiłem chętnie po zrealizowaniu już podpisanych umów, które opiewają do końca... 1967 r. Trasa wiedzie (podaje według kolejności) do: Japonii, NRF, Włoch, Hiszpanii, Turcji, Anglii oraz krajów Ameryki Południowej — Argentyny, Urugwaju i Chile.



— Mimo tak długiej nieobecności w rodzinnym mieście, czuję się z nim bardzo związany — podkreślił na pożegnanie rzeszowski, dyrygent-globtrotter. — Mam przecież stryja, który nadal mieszka w Rzeszowie. Więzy są więc najsilniejsze, bo rodzinne!

Chciałabym usłyszeć, że do czasu powrotu z wielkich artystycznych wojaży naszego krajana Rzeszów upora się z budową gmachu Filharmonii, a w terminarzu gościnnych występów Stanisława Wisłockiego, który pierwszy raz stanął za pulpitem dyrygenckim z batutą w ręku, by poprowadzić prawdziwą orkiestrę symfoniczną, na estradzie rzeszowskiej znajdzie się data z dopiskiem: „Koncert w Rzeszowie” i uwaga już całkowicie prywatną: zaprosił stryja!

Słowa o X „Warszawskiej Jesieni” napisała oraz rozmawiała z dyrygentem Filharmonii Narodowej Stanisławem Wisłockim

MARIA CECYLIA GUZIOŁEK

ŚLADAMI POSTĘPU

(CIAĞ DALSZY ZE STRONY 3)

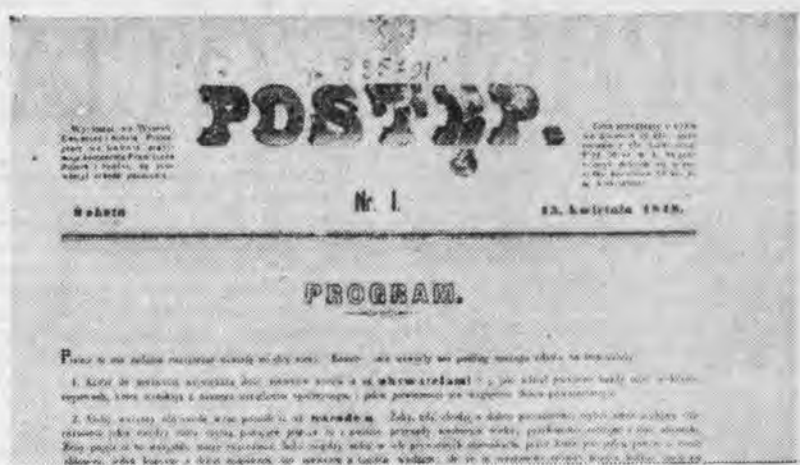
Adama Dmuszewskiego pt. „Szkoda wasów”. Te dwie sztuki ściągnęły na siebie gniew recenzenta „Postępu” L. Edera: „Maż więc teatru, dotychczas jedyny zakład publiczny, do tego służyć, ażeby nam spełniły mary zapadłej szlacheckiej świetności, historycznie osądzoną przeszłości, z grobu wydobywać. Czy zabłądziłszy w lśniące tłumy dworskich zbytków? Czy w sale magnackie ustępujących arystokratów? Cóż oznaczają te szalone uroczystości, te

może na moje zaufanie, na wiare rachować? A gdyby nawet takie połączenie przyszło do skutku, będzie to tylko pozorem, bo prawdziwe połączenie umysłów ludu z klasami nienawidzącymi nie da się uskuteczyć jak tylko przez długoletnią i niezmordowaną pracę, nieustanne, szlachetne, ludzkie i braterskie obchodzenie się z nim”. Nie był to wybieg taktyczny. Prepozytywistyczne stanowisko redaktorów „Postępu” wynikało z analizy sytuacji politycznej na wsi galicyjskiej. Chłopi, podobnie jak w

głosili ideę jedności między Polakami i Rusinami i dążyli do zatarcia różnic narodowościowych, druga domagała się zachowania odrębności narodowościowych, ale popierała tendencje wywoławcze Polaków i wreszcie trzecia, najbardziej skrajna, zakładała połączenie Rusi z carską Rosją. Spory między tymi ugrupowaniami wzmogły się w okresie Wiosny Ludów. Część Rusinów utworzyła tzw. Radę Świętojurską, która ściśle współpracowała z gubernatorem Stadionem i nie kryła się z wernopoddanymi uczuciami wobec tronu cesarskiego. Postawa i działalność Rady budziła sprzeciw nie tylko społeczeństwa polskiego. Inteligencja ruska zawiązała nowe stowarzyszenie pn. Sobór Ruski i wystąpiła przeciwko Świętojurmom jako wicherzycielom i ślepemu narzędziu w rękach Stadionu. Sobór Ruski nie wyrzekł się praw narodowościowych, ale zakładał współpracę z Polakami w dziedzinie utrwalania zdobytych swobód obywatelskich.

Podobne stanowisko zajmował „Postęp”. Narosie w ciągu wieków konflikty są wypadkową działania władców i kast uprzywilejowanych, a zatem nie są konfliktami, które mogłyby poróżnić ludy słowiańskie w nowym układzie sił politycznych. Zerwanie z historycznie osądzoną przeszłością jest warunkiem zwycięstwa idei wolności i braterstwa. „Polska przyszła ma być Polską ludową — pisał Zachariasiewicz — skądże między ludami mającymi jeden i ten sam interes, ma być nieprzyjaźń bez powodu? Tutaj spoczywa tajemnica naszego rozdwojenia. Rusini doją się Polski dawnej, szlacheckiej, gdy tymczasem czciciele Polski szlacheckiej występują do Rusinów jako apostołowie jedności i zgody wstawiając w lud dawne świetne czasy, które są dla niego czystą abstrakcją, albo cierpkim wspomnieniem. Lud nie wznosi się do pamiętek przeszłości; myślny powinni przez cześć dla tych pamiętek do niego się zniżyć, rzucić z siebie te świecące mamidła, cośmy przez historie nabyli w drodze nieprawej, nieludzkiej”.

Ultrakonserwatywna „Polska” — organ bogatego ziemiaństwa i arystokracji atakowała „Postęp” za szerzenie zasad komunistycznych, za rzekomy brak patriotyzmu i domniemany panslawizm. Mimo to pismo nie zrezygnowało z przedstawienia niebezpieczeństwa, jakie groziło rewolucji przez narzucenie jej ciasnych ram nacjonalizmu narodowego. W ostatnim, 54 numerze „Postępu” czytamy: „Ruch rewolucyjny roku 1848 był skutkiem ucisku. Społeczność zażądała dla swej budowy innych kształtów. Ze wzrostem tej idei pękły obrycze form strupieszaty. Zaciemnił się burzą horyzont polityczny narodów, a poród przyszłości był bliski. (...) Nieprzyjacielem postępu we Francji, chcąc rewolucję paryską wstrzymać w jej wynikłościach, zepchnęli ruch ten ze stanowiska społecznego na stanowisko narodowości, a obok wyrazów Wolność, Równość, Braterstwo, niby z szyderstwem położono dążność pryncypialną „rzeczpospolita francuska”. Ideę więc równości i braterstwa zamknięto w granice Francji, tam wolno tylko być równym i wolnym! (...) W Niemczech okazały się także zarody rewolucji. I tutaj przygazono pierwsze wybliski, a walczących o sprawę świętą cofniono z pola walki za ideę na pole narodowości. Czystą wynikłością tej ostatniej zasady jest sejm frankfurcki. Was ist des deutschen Vaterland zaspiewano na gruzach praw w rewolucji marcowej nabytych, a na niwach teutońskich zaktknięto sztandar nacjonalizmu. (...) Ze stanowiska narodowości wychodząc wcielono Poznań do Niemiec, uchwalono wojnę holenderską, poklaskowano mordom Radeckiego. Ze stanowiska narodowości niemieckiej badano korzyści terytorialne, zażądano dla Niemiec Gdańska i Triestu, Alp i Renu, a może i Karpat naszych. Ze stanowiska narodowości jest Niemcom Polska straszylem, a powstanie włoskie zgrozą”. Ten emfaticzny, z polemizacją swadą napisany artykuł, świadczący o dużej przenikliwości politycznej autora (Jana Zachariasiewicza) ukazał się 29 listopada 1848 roku, w momencie gdy rewolucja „w jej wynikłościach” była poważnie zagrożona. Przed trzema tygodniami we Lwowie doszło do krwawych starć ulicznych, które zakończyły się bombardowaniem miasta. General Hammerstein zaprowadził w mieście reżim wojskowy i przystąpił do likwidacji organizacji politycznych. W tej sytuacji „Postęp” nie mógł się dalej ukazywać. W nocy redakcyjnej czytamy: „Odtąd udzielne wy-



Fragment karty tytułowej „Postępu”.

dawanie „Postępu” ustaje, i tenże, nie zmieniając się bynajmniej co do treści i zasad, będzie wychodził w „Gazecie Powszechnej”, która tytuł naszego pisma za godło przyjmuje”. Manewr ten nie uratował pisma. 20 grudnia 1848 roku „Gazeta Powszechna” jako kontynuacja „Postępu” zakończyła swój krótki żywot. Zarysowana tu problematyka pisma, jego bezkompromisowość w stawianiu spraw społecznych i narodowościowych stawia „Postęp” w rzędzie najbardziej radykalnych periodyków XIX wieku. Nie znaczy to jednak, że „Postęp” nie mylił się w niektórych kwestiach szczegóło-

wych; nie całkiem odgradził się od socjalizmu utopijnego, a nawet chrześcijańskiego, który propagował na jego łamach Leon Rzewuski. Nie należy jednak przeceniać wpływu Rzewuskiego na charakter pisma. Źródła rozdwojeń ideowych były znacznie głębsze. Płynęły przede wszystkim z tego, że grupa radykalnych publicystów skupionych wokół „Postępu” nie miała oparcia w masach chłopstwa ani w słabym mieszczaństwie, nie mówiąc o szlachcie dalekiej od dobrowolnego przyjęcia zasad nowego porządku społecznego. Stąd pomyłki pisma nie obciążają jego kartoteki. CZESŁAW KŁAK



Jan Zachariasiewicz — jeden z redaktorów odpowiedzialnych „Postępu”.

żalnością uświetniające pienia, odnoszące się do zamroczonej przeszłości i do reprezentantów onejże?”. Publicyści „Postępu” atakowali nie tylko egoizm klasowy szlachty i jego skutki polityczne. Z niemałą siłą uderzali także w naturalnych sprzymierzeńców feudalizmu i wrogów demokratycznych przemian społecznych. W jednym z artykułów wstępnych czytamy: „Oprócz wielu innych licznych urogoń postępu jezuityzm nie jest najmniejszym. Jezuityzm jest instytucją pierzającą ciemności średniowiecznej przed udziałnością ducha ludzkiego i wolnym przekonaniem. Ślepe postuszeństwo, ciemnota i głupota pod pozorem świętobliwości są hasłem jezuityzmu. Jezuiti sprawozdani po 1830 roku do Galicji, używając wpływu słabych kobiet, upetniali sobie rządy nad umysłami, lud nasz ciemny fanatyzowali i tak wszystko przygotowywali do despotyzmu i kapłanokracji”. Obalając mity o historycznych zasługach szlachty i instytucji, które ułatwiały jej panowanie „Postęp” zajmował stanowisko prulodowe, co m. in. wyrażało się głęboką wiarą w wartości moralne ludu. Nawet pamięć o tragicznej rzezi galicyjskiej sprzed dwu lat nie osłabiała tej wiary. Zdaniem pisma ciemnota, dezorientacja polityczna i nieufność chłopów były pochodną wadliwego ustroju społecznego i polityki rządu austriackiego, który podsycał antagonizmy klasowe i narodowościowe w Galicji, a zatem miały charakter historyczny. Radykalni publicyści uznali za podstawowy warunek odrodzenia Polski usunięcie barier społecznych i politycznych utrudniających integrację narodu, ale wyraźnie opowiadali się przeciwko rewolucji ludowej. W liście otwartym do gubernatora Stadionu zaprzeczali jakoby w Galicji istniała silna partia demokratyczna przygotowująca powstanie ludowe. „Postęp” zapytywał: „Czy ten, który mię przez całe życie uciegał, ostatni kawałek chleba od ust odrywał, kijami okładał, pogardzał mną — jeśli naraz przyjdzie do mnie i złote góry obiecuje, całując się, bratając się ze mną, do pojednania, do złączenia i współdziałania ze sobą wzywa — czy ten



Stał Pan przy bufecie z piwem Kolejowych Zakładów Gastronomicznych na stacji PKP w Dębicy. Była sobota. Godzina 9.30. Od samego rana padał rzęsty deszcz. Przemoknięci i zziębnięci podróżni tłoczyli się przed kasami biletowymi, w poczekalni... Gdyby nie ten bufet z piwem, który tego dnia był wyjątkowo bez kolejki, nie wzbudziłby Pan większego zainteresowania własną osobą. Kelnerki, niemal bez przerwy podawały do stolików ciepłe zakąski i herbatę. Był Pan w popielatym garniturze i bezowych półbutach. Miał Pan przy sobie teczkę — aktówkę koloru orzechowego. Rozpięta koszula, włosy starannie zaczesane. Przy bufecie z piwem zmieniały się twarze konsumentów. Tylko Pan stał uparcie, wypijając kufel za kuflem tego napoju z „kołnierzykiem”. Najwyraźniej drżał Pan nogi i ręce. Zresztą drżał Pan cały z chłodu i zapalczywie pitego piwa. Deszcz padał w dalszym ciągu. Na stacji robiło się coraz tłoczniej. Gonione od północnego zachodu ciemnoszarze chmury powodowały lekki półmrok. Była godzina 10.00. Pałace się neony pomagały światłu dziennemu rozjaśniać obszerny lokal KZG. Chociaż zegary szybko odmierzały czas — Pan stał nadal przy bufecie z piwem, przewracając pilnie kieszenie spodni i marynarki za ostatnimi

grozami. Przy tym z ust, raz po raz, wypadały Panu papierosy. Pan je podnosił i palił dalej. Starczyło jeszcze na jeden kufel piwa, potem następny...

Na aktówce koloru orzechowego, którą Pan położył na ladzie, była rozłożona gazeta. Pan próbował czytać — raczej Pan próbował udawać czytającego, przy tym od czasu do czasu rozglądając się po lokalu. Przymrużone oczy, twarz ponura. Chwilami obojętna, chwilami rozpacziwa. Budząca litość i pogardę. Bo była to twarz pijana. Nieszczęśliwa, szukająca jak gdyby ratunku. Gdzie byli Pana koledzy, którym — jak mogę przypuszczać — mógł Pan hojnie fundować wódkę w którejś z dębickich restauracji. Pan, rozglądając się, próbował do kogoś przemówić, aby ktoś litościwy dorzucił Panu złotówkę lub dwie na następny kufel piwa. W kierunku Rzeszowa i Krakowa odjeżdżały pociągi pośpieszne i osobowe. Na stacji PKP w Dębicy było wciąż tłoczno. Jedni odjeżdżali, drudzy przyjeżdżali. I deszcz padał w dalszym ciągu, i Pan stał uparcie przy bufecie z piwem jak na początku, drząc coraz bardziej. To było może jedyne Pana wyjście — stać w tym „zbawionym” miejscu i za ostatnie złotówki wlewać w siebie ten zimny napój z „kołnierzykiem”. Pan się nie mógł oderwać od lady. Pan stał niczym wrośnięty. Może to było jedyne szczęście, może jakiś cel, a może po prostu jedyne ratunek, aby w ten sposób zapomnieć o wszystkim, co Pana dręczyło? Nie wiem... Ale wiem natomiast, że obserwowano Pana coraz pilniej, chociaż stał Pan spokojnie. Nawet kulturalnie. I samo picie piwa było z gruntu rzeczy również kulturalne. Tylko, że bez dna. Tak, jak się pije nałogowo. Kiedy Pan poprosił o jeszcze jedno duże — bufetowa odmówiła: „Już nie dam Panu więcej...”. Wtedy nachylił się Pan nad ladą i zaczął prosić o ostatnie piwo. Jednak bufetowa była stanowcza. Wypił Pan za wiele, miała więc rację. Po chwili wziął Pan gazetę i aktówkę i chwiejnym krokiem wyszedł na peron z wyraźnie urażoną ambicją z powodu odmowy przez bufetową podania jeszcze jednego piwa. Przechadzał się tu i tam coraz chwiejniejszym krokiem. O 11.40 znów Pan stanął jak słup przy bufecie z piwem. I znów duże jasne... Rozglądał się coraz przytomniej. Co było dalej — nie wiem. Pan był niebezpiecznie milczący, wyraźnie zrezygnowany... Wydawało mi się, że Pan stacza się na dno jakiejś straszliwej przepaści, że Pan krzyczy, że woła o ratunek... Ale kogo? Tych podróżnych, czy tych, którzy gdzieś oczekiwali tego dnia Pana. Ale przecież Pan milczał, pijąc piwo, podnosząc coraz częściej wypadające z ust papierosy, a przy tym rozglądając się na podróżnym niczym koniający. Czy Pan powrócił do domu?

Może wśród podróżnych znajdowali się znajomi Pana. Jednak nikt nie wykazywał żadnego odruchu. Raczej obserwowano Pana z pogardą i był raczej drwiący uśmiech. Szeptano. Stał się Pan ofiarą obojętności. Może słusznie. A może to Pan, jako ten człowiek staczający się na dno przepaści własnego nałogu, nie pragnie żadnej pomocy, uważając, że już wszystko przegrane? Dlaczego?

Krystyna Świerczewska

Turyści Jednodniowi

TARGOWISKO CYWILIZACJI

(Kopenhaga)

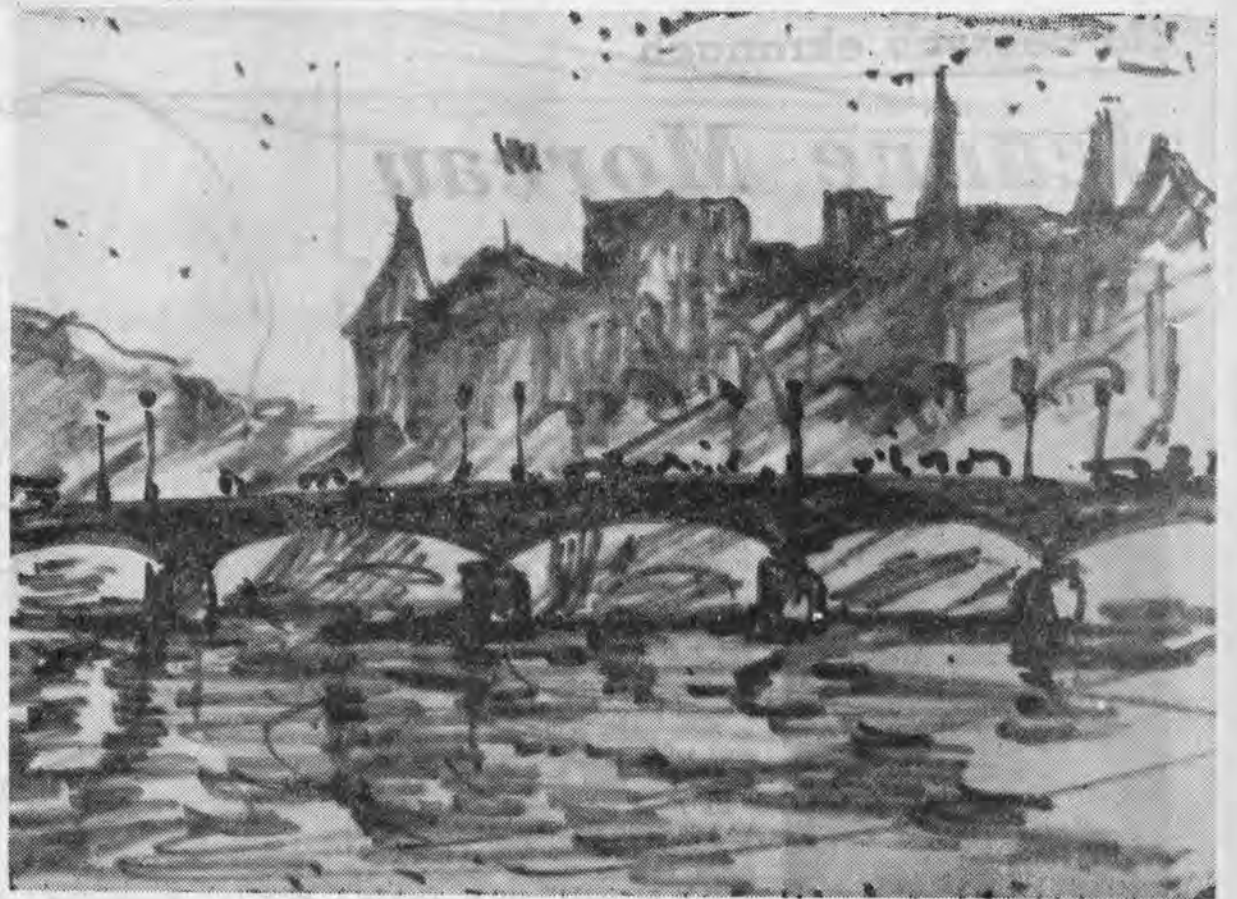
475 wysp, Andersen, Tivoli — oto przeciętne wiadomości Polaka o Danii i Kopenhadze. Jeszcze tam gdzie kołacz w pamięci Thorvaldsen z jego księciem Józefem, płacze się piękne opowiadanie Iwaszkiewicza o polskiej służącej i pastora erotomanie, „Ditta” bardziej znana jako film niż książka drugiego Andersena — Nexø i zamek Kronborg — szekspirowski Elsynor. To byłoby mniej więcej wszystko i z tym cieniutkim bagażem historycznym przybijam wraz z „Batorym” do Kopenhagi, rozpoczynając zachłanne połykanie dnia codziennego północnej stolicy.

Jest sobota, dzień weekendowy, o drugiej popołudniu kończy się życie handlowe, kończy praca, ludzie uciekają w ogrody, w zieleń, w głąb największej z wysp; zostaną turyści i ci, których nie stać na wyjazdy, albo ci, którzy wybrali na sobotnie popołudnie własny, kopenhaski jarmark sensacji — ogrody Tivoli.

Z nabrzeża Langelinie połyskiwale bliższy morze, czterdzieści kilometrów kwadratowych portu hołubi statki z całej Europy, rozgąsiała się ten port w małe przystanie rybackie i spacerowe, w dół pozostał za nami zielony pas wyspy, na której stoi latarnia morska, bynajmniej nie samotna, ale w zgiełkliwym otoczeniu miejskim. Gwar, ruch, nieomal tło. Uciekamy z nabrzeża w mia-

piękną w Kopenhadze, co stare, pochodzi z czasów tego wielkiego budowniczego, który własne imię rozstawił nie tylko w Danii, ale i sąsiedniej Norwegii — wielkiej naówczas prowincji duńskiej.

W ogóle wszystko tu królewskie. Śmieszne to trochę dla turysty, kiedy słyszy ten przymiotnik przed każdą większą budowlą, każdym większym placem: Królewski Plac, królewski kościół, królewska katedra, królewski zamek, królewska biblioteka, królewskie stajnie, królewski teatr. Szczytem tej królewskości staje się brzydkie, wielkie domostwo, o którym już na pewno nie da się powiedzieć, że królewskie, ale w zamian ci mówią, że do tej właśnie szkoły (bo domisko okazało się szkołą) chodzili 3 córki królewskie. No i naturalnie zaraz wygrzebuje z pamięci barwny Paris-Match, który przed dwoma laty pasjonował się romantyczną miłością 17-letniej duńskiej królowej do greckiego króla Konstantyna i hucznym weseliskiem w Atenach, które zaszczylił obecnością panujący miłościwie Fryderyk IX — imponująco piękny jeszcze 67-latek. No i żeby już skąpać się w tej królewskości i w życiu wielkiego mondu, pędzę na plac Amalienborga o 12 godzinie, a w wędrowce towarzyszy mi stuk butów gwardii królewskiej, zdążającej tak nieodmiennie od lat na zmianę posterunku. Ten komiczny i malowniczy zara-



Znany artysta-malarz i pedagog Edward Kieferling z Jarosławia przez 3 miesiące był stypendystą rządu francuskiego i przebywał w Paryżu oraz innych miastach Francji. Artysta m. in. interesował się metodami wychowania artystycznego, zwieździł centrum pedagogiczne w Sévres.

Ostatnio Kieferling wziął udział w światowym kongresie pedagogicznym w Pradze, gdzie wygłosił prelekcję pt. „Wrażliwość i wyobraźnia w procesie praktycznego kształcenia plastycznego”. W czasie Kongresu w Pradze czynna była również wystawa prac uczniów szkół plastycznych. Polskę na wystawie reprezentowały prace młodzieży z Liceum Sztuk Plastycznych w Jarosławiu.

E. Kieferling — Widok na Cite — rysunek

Konstantyna wraz z swoją córką w letniej rezydencji. Umieram ze śmiechu i tak bardzo żałuję, że przedzobiorowa historia Polski dla II klasy gimnazjum kończyła się zwrotem:

dzie jak nisko sobie Dania ceni zachodni dolar (przeliczono nam właśnie tę „piątkę” dolarową przysługującą polskiemu turyście — który nie — ma — potrzeb na duńskie korony) — uprzejmość, uśmiech, spokój. Grzebiemy w towarach jak chcemy i ile chcemy, nikt się nie denerwuje, nikt nie wydziera z ręki, pozornie nikt nawet nie pilnuje. Nerwowo oglądam się, przyzwyczajona do polskich „samów”, czy przypadkiem nie podpadnę, zbyt długo gmerając w diugopisach, które leżą niestrzeżone. Ale kogo to obchodzi? Kupię — dobrze; nie kupię — też pewnie dobrze, bo nikogo nie dziwi, że wybieram, grymaszę. Nie patrzę nawet na odzież — jest tak droga, że problemem musi być dla przeciętnej żony robotnika z pensją 300 koron tygodniowo sukienka za 500 koron, zresztą wcale nie cudo, tyle że porządna, z dobrej wełny. Świetne kosmetyki od Guerlaina czy Diora kosztują krocie. — Stoisko więc puste. Równie piękna jak sprzedawane obiekty ekspedientka uśmiecha się do mnie, proponując gestem pudło z kredkami do warg. Żebyś ty wiedziała, panienko, czym ja dysponuję, i tak uśmiechałabyś się pewnie tak słodko...

Świeczniki, kapelusze, torby, futra — leżą sobie w wyborze oszalałymi, ale klienteli nie widzę przy nich za wiele. Jakaś nerwowa Polka czeka z niecierpliwością na tłumy Dunek, kupujące to bogactwo barw i jakości. — Wreszcie zniechęcona topi parę koron w pończochach od Diora i odchodzi pomrukując: U nas już by nie było. A pewnie, że by nie było, kiedy pomyśli się o tłumach w warszawskich komisach, które szafują złotówką na kolorowe szmatki.

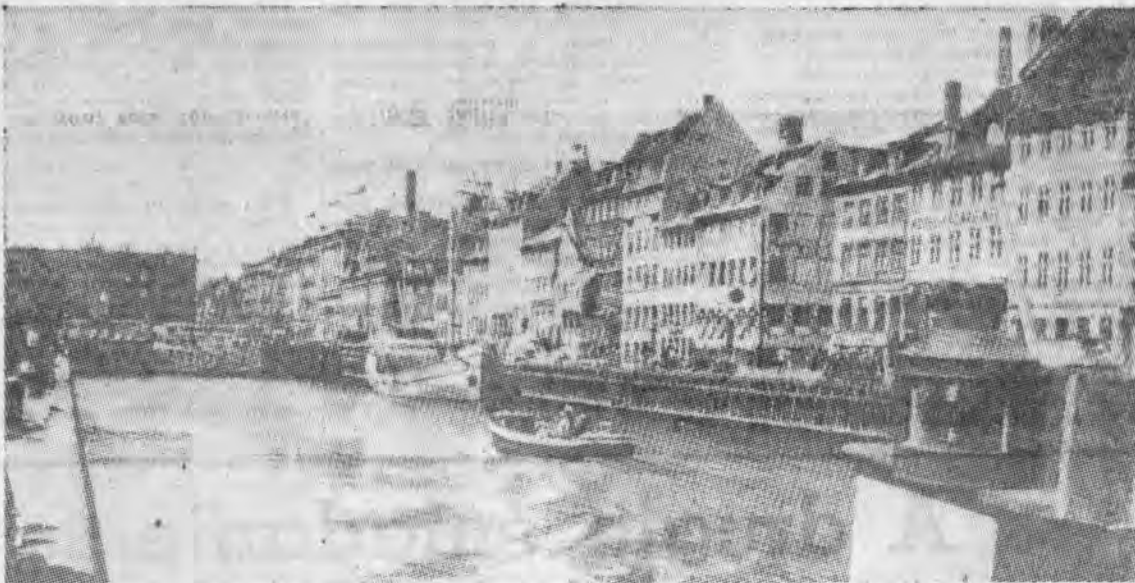
Dunki nie są kolorowe. Nie krzyczą jak polskie dziewczyny tahitańskim zestawem barw, pióropusami fryzur, czerwienią ust, opalenizną twarzy. Są blade, długonogie, z dyskretnym makijażem, u m y t e, z gładkimi włosami prostych fryzur. I leżą w tym wdziku i elegancji! Ulicami płyną pastelowe koblety, opracowane w szczegółach, tak bardzo zadbane i tak przy tym skromne, że je mnie zawiść, kiedy one mają czas na to wszystko, co może nie kosztuje korony, ale wymaga maksimum osobistego wysiłku.

W konfekcji mało tandety — za to w pamiątkach, falsyfikatach staroci — aż krzyczy: szklane potworki, figurynki, bibeloty, serwetki, straszliwie brzydka porcelana, podrabiane samowary, tace i inne jarmarczne obrzydliwstwo reklamuje się buńczucznie na wielu wystawach. Obok — plakaty z Jamesem Bondem i naga dziewczyna, gdzieś na mniej ludnej gate kioski z „Eldoradami”, na których kolekcja biustów i innych intymności damsko-męskich (są i piękni chłopcy dla pań — a jakże...) przyprowadza co skromniejszych o rumieniec. Ano, widać zadbane, skro-

mane Dunki — to za mało jak na duńsko-męski gust.

Czegoś jednak mi brak na bulwarach z ławkami, w kawiarenkach nad kanałami. Naturalnie — brak mi w to sobotnie popołudnie naszych angrymanów z fiaczką pod pachą. Szukam z uporem i trafiam w ulicę zamkniętą dla ruchu, gdzie całe to towarzystwo koczuje. Śladu gniewności! Rozczarowanie przemieszane z sympatią każe mi przystanąć w tym światku kopenhaskiej bohemy, sfrustrowanej w zupełnie inny sposób aniżeli to mówią nasze wyobrażenia o nich. Pod kamieniczką, gdzie cały fronton pomysłowy sprzedawca obwiesił miedzianymi wyrobami, które wyglądają i tak jak złote bogactwo sztucznego antyku, siedzą dziewczyny długowłose i piękne, znowu czyste, z wylakierowanymi paznokciami u nóg, choć bose, bo tak każe maniera. Chłopcy w klipsach i bransoletkach, z brodami i bez bród, ubrani we wcale niezłe tweedy, też bosy (może to Karmelici XX wieku, bo takie to bractwo smutne i poważne?) palą fajki i nudzą się. Nie obchodzi ich życie przewalające się tuż obok, mają swoje problemy, jak z Kirkegaard, dyskutują o egzystencji i zagadnieniach malarskich, malują wielkie obrazy na chodnikach, scterają, poprawiają; obok leżą puszki i talerzyki, na których ktoś tam czasem kładzie koronę, ktoś inny papierosa, a jeszcze inny popatrzy wzgardliwie i nie chce wrzucić. Był w najczystszej formie leniwego tworzenia dla siebie, na chwilę, ot, z nudów; coś z Jean Jacques'a Rousseau i Saint-Germain des Pres. Chłopcy przypominają dziewczyny, dziewczyny chłopców, wszyscy nie mają więcej niż 20 lat; nawet matki z dziećmi, których tu także nie brak. Czy to ma wyobrazić apokaliptyczne dzieje sztuki XX wieku, czy egzystencjalistyczną wolność czy naturalną potrzebę życia w stadzie trudno powiedzieć, nie żyjąc z nimi. Jedno wszakże jest pewne, ci młodzi ludzie nie znają potrzeby czynu, zwłaszcza rękoczynu, nie chcą zmieniać świata, są na pewno nie z biednych domów i stwarzają Kopenhadze ulicę z kolorytem, gdzie biegna cudzoziemcy, spragnieni silnych wrażeń.

Właściwie to bardzo tu u nich miło, zwłaszcza gdy się wie, że minie wiek durny, i powrócą do koszul non iron, obetną włosy, a dziewczyny zbledną, spastelowieją. Lubią dyskutować i ta ulica jest dla nich czymś w rodzaju Hyde Parku londyńskiego, zwłaszcza, że w pobliżu rozsiadła się dla kontrastu, Armia Zbawienia i pastorycy wyklinają obyczaje, a nad nimi krzyczą transparenty o wojnie wietnamskiej... Z jednej strony nuda egzystencji i sztuka dla sztuki, z drugiej — cień nietolerancji, nieco komiczny w tym otoczeniu, pośredku — tragedia, której współczuje cały świat.



NYHAVN — Stara dzielnica portowa Kopenhagi.

sto i już na pierwszym szerokim bulwarze odnoszę wrażenie, że to mi skądś znajome. Wielki pas zieleni po jednej stronie towarzyszy bulwarowi przez całą jego długość i jest zupełnie tak, jak na krakowskich plantach. Tyle, że piękne kościoły, portowe rybackie dzielnice — to już nie renesans krakowski rodem z Włoch, ale coś, co ten renesans za ledwie przypomina, idealnie przetworzone na duński koloryt, koloryt, skandynawski. Spiczaste dachy, wielkie jak u stodół, spatynowane i dziwacznie kształtem wieże, złote ornamenty, co bliższą natarczywie w słońcu przypominają, że weszło się w kraj północny o wilgotnym klimacie, którego nie respektować nie może nawet tak piękny i jednolity styl, jakim był renesans. Wiedzia! znakomicie o tym klimacie przed 799 laty biskup Absalom, założyciel Kopenhagi — miasta — schronienia przed piratami dla spokojnych rybaków. I kiedy w 450 lat później duński Kazimierz Wielki czyli Chrystian IV, który z Kopenhagi drewnianej zrobił murowaną, objął to dziedzictwo absalomowe i jednocześnie rozmiłował się w renesansowym budownictwie, zaczął kontynuować tradycję spiczastych dachów i dziwnych, obłych wież, które zastępowały koronkowe atyki i włoskie płaskości. Stoi sobie ta dzielnica malowana czasem i uroda do dziś i do dziś nie zmieniła znaczenia, służąc rybakom i ludziom morza. Przegląda się w kanale, kokietuje ciasną, wysoką zabudową, symetrią wąskich, wydłużonych okien.

Na dobrą sprawę wszystko co

zem anachronizm, dziś tym jaskrawiej krzyczy, że dzień upalny, że słońce załamuje się w aksełbantach i szablach, że czarne futrzane korpaczyska wielkie jak stodoły, przypominają o syberyjskiej zimie. A tu 20 młodzianek z powagą godną lepszej sprawy patrzy na siebie milcząc w dwuszeręgu i ani drgnie. Turyści pstrykają aparatami, sama ładuję się pod budkę i mam nieomal ochotę dotknąć młodego człowieka, by pogłaskać jego czapę, ale nie czynię tego, tylko ustawiam się jak umiem najwzdłużniej obok niego, usłużny towarzysz pstryka, uśmiecham się, mówię pięknie „merci” — tamten zaś raczył spojrzeć ze wzgardą. Najwyraźniej drażni go ten tłum chichoczący, który z rycezyka królewskiego robi widowiskowym z egzotycznego okaza ogrodu zoologicznego. Zaczyna mi być żal chłopaka, ale dopiero wtedy gdy pewna, że mam go obok siebie na filmie, który w Polsce wywołam... Ot, natura turysty.

Tymczasem w pałacu królewskim maszt na flagę stoi pusty, z setki gwardzistów jest tylko 20, bo król nieobecny. Grupa Niemców z Monachium obwieszona kodakami z teledyktami jak kominy w Nowej Hucie podrywa głośno, że król wyjechał na żniwa; pani profesor z Uniwersytetu Łódzkiego, której największą namiętność stanowią placki o cesarskich cięciach Liz Taylor i koligacjach domów królewskich, z oburzeniem prostuje ten monarchijski żart; król podejmuje greckiego

„Ostatni król Polski — Stanisław August Poniatowski złożył koronę”. O czym my mamy plotkować?

Z XVIII-wiecznego Amalienborga, złożonego z czterech potężnych budowli klasycyzujących, ułożonych w rondo, uciekam wprost na katedrę, która jako żywo przypomina kopułę Piotrową w Rzymie; katedrę, co tuż po wybudowaniu zawalila się i 100 lat leżała w ruinie, zrekonstruowaną dziś i... kończę z królewskością definitywnie. Nas turystów jednodniowych ciągnie ulica kopenhaska może bardziej niż wszystkie świętości zabytkowej architektury i równie zabytkowej monarchii.

Jakaż ona, ta ulica? Czysta, czysta i jeszcze raz czysta. Pachnie porządkiem i pięknie domowymi Dunkami, pachnie kawą i kawiarniami na chodnikach, zdumiewa kulturą kierowców, od których nie usłyszę: „lalunia, bo rozjadę” i którzy nie obskakują cię swoimi wozami na pasach i zebrach. Czekają z uśmiechem aż przejdiesz; jesteś panią zebra. Kiedyś w popiochu umykała na jakiejś bardzo szerokiej gate przed małym volvo (taż na tym się w końcu pędzi na rajdy do Monte Carlo), kierowca zaczął zwalniać na długo przed pasem i machać ręką, że on wcale nie ma zamiaru mnie uprzedzić. Święci pańscy — gdzie ci ludzie się tego nauczyli? Wyjaśniają mi to: przepisy drogowe, które kieliszek wina oceniają na co najmniej 3 miesiące bezwzględnej aresztu; o wypadkach lepiej nie mówić.

W wielkim Magasin du Nord, gdzie mogłam na własne oczy spraw

Na naszych ekranach

Jeanne Moreau



Margot" niewiele miała do tego okazy, a następnie „Winda na szafot” Malle'a, film, który początkuje ugruntowanie sławy Jeanne.

Rozpocząła od teatru. Uczyniła to wbrew woli ojca, który przeznaczył ją na żonę jakiegoś obszarnikowi z Awinionu. Wyrzuciwszy pierścionek zaręczynowy do rzeki, Jeanne jedzie do Paryża, gdzie uczy się w konserwatorium oraz Wyższej Szkole Teatralnej. Występy na scenie rozpoczyna mając 20 lat, w roku 1948 w Comedie Francaise, a następnie kontynuuje je u Jeana Villara w jego Theatre National Populaire. Odnosi wiele sukcesów. Gra u boku Gerarda Philipe'a w „Księżcu z Hamburga”, uznanie krytyki zdobywają jej kreacje w „Pygmalionie”, „Kotce na gorącym dachu” i wielu innych sztukach. Po tournée w USA, gdzie oklaskuje ją publiczność wielu wielkich miast, jej rozgłos przekracza granice Francji.

Do filmu wkracza już jako znana i dojrzała aktorka, ale długo musi czekać na dobrą rolę w interesującym obrazie. Zanim wystąpi w „Winda na szafot” gra w „Dernier Amour”, „Jest północ, doktorze Schweitzer”, „Tajemnicach alkochoy”, „Julietcie”, „Królowej Margot”, „Ludziach w białej” oraz kilku innych drugorzędnych filmach. Gra role drugoplanowe, żaden z producentów nie zamierza uczynić z niej gwiazdy, pokutuje opinia o jej niefotogeniczności.

A jednak aktorka stawia na film, rezygnując niemal zupełnie z teatru. Występuje przed kamerą do trzech razy w roku i jej upór wreszcie przynosi rezultaty. Louis Malle, jeden z czołowych twórców tzw. francuskiej „nowej fali” angażuje Moreau do filmu „Winda na szafot”, który jest ogromnym sukcesem reżysera i aktorki. Oboje ugruntowują ten sukces filmem „Kochankowie” i odtąd Jeanne trafia do coraz to bardziej interesujących obrazów i gra u znakomitych reżyserów. „Moderato cantabile” Petera Brooka, „Jules i Jim” Fr. Truffaut, „Proces Orsona Wellesa”, „Noc” Antonioniego, „Dziennik panny służącej” L. Bunuela, „Mademoiselle” T. Richardsona, oto mała część jej filmów, które sprawiły, że Moreau należy obecnie do grona najwybitniejszych aktorek współczesnego filmu.

Jak każdy oryginalny i nieprzeciętny talent budzi kontrowersyjne opinie. Ma mnóstwo zagorzałych zwolenników, wiele młodszych adeptów sztuki filmowej uważa ją za swój ideał, a jednocześnie nie brak przeciwników jej aktorstwa i urody.

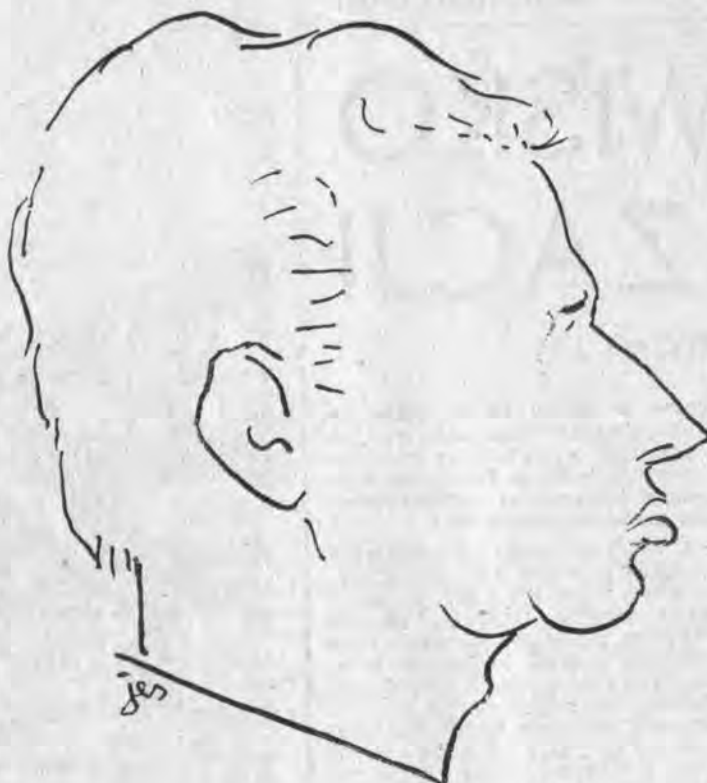
„Więcej niż piękna” — takimi słowami określili ją koledy z teatru, ale czasopismo „Cinerevue” napisze: „Nie jest piękna. Jest za mała. Ma cienkie nogi, za duże usta z ciepko zaciśniętymi kącikami”.

„Nie lubię Jeanne Moreau, a nawet wręcz działa mi ona na nerwy” — pisze w ostatnim numerze „Ekranu” (przy okazji filmu „Olimpiada w Tokio” Stanisław Dygat), a Marcello Mastroianni na ogół skąpy w udzielaniu pozytywnych ocen swoim partnerkom, i mało czuły na ich wdzięki, tak mówi o niej w wywiadzie prasowym: „Myślę, że każdy mężczyzna może z łatwością zakochać się w takiej kobiecie, jak Jeanne Moreau. To prawdziwa kobieta. W najszerszym tego słowa znaczeniu. No i te usta, oczy, ręce. Nie jest do nikogo podobna. Taką kobietę warto kochać”.

Jak dotąd zwolennicy Moreau stanowią przynajmniej większość, a aktorka kręci film za filmem. Jej oszczędna, skupiona gra jest znakomicie przystosowana do potrzeb ekranu, postacie zaś, które kreuje, są tego typu, że nie sposób je szybko zapomnieć. Jeanne jest świetna w roli kobiet zakochanych, buntujących się przeciwko krępującym je konwencjom, nie uznających żadnych ograniczeń ich wolności osobistej. Romantyczne uczucie, czy tylko zmysłowa miłość są dla niej usprawiedliwieniem wszystkiego — zdrady, brutalnego zerwania, nielojalności. Są to wszystkie role psychologiczne, głęboko przeżyte przez aktorkę, która coraz to nowymi środkami wyraża skomplikowane stany duchowe swoich wrażliwych bohaterów.

10 lat ekranowej znajomości z Jeanne Moreau przyniosło nam wiele niezapomnianych wzruszeń i przeżyć.

(ws)



MGR INŻ. WŁADYSŁAW BOCZKAJ — ARCHITEKT.

RYS. J. SIENKIEWICZ



Franz Kafka: PROCES. Przel. Bruno Schulz. Wwa 1966 PIW, wyd. II, s. 252, cena 17 zł.

Pierwsze wydanie tej powieści rozszło się natychmiast. Znany jest bowiem pisarz, znanie jego utwory. Powieści tego austriackiego (zmarłego w 1924 r.) pisarza wywarły duży wpływ na współczesną literaturę światową, zwłaszcza na surrealistów i egzystencjalistów.

Henri Michaux: NIEJAKI PIÓRKO. Przel. Jerzy Lisowski. Wwa 1966 PIW, s. 57, cena 10 zł. Biblioteka Jednorożca.

Ten ponad sześćdziesięcioletni pisarz francuski (podobnie jak J. P. Sartre — nagrody Nobla), nie przyjął w roku ubiegłym państwowej nagrody literackiej, przyznawanej za całokształt twórczości. A dorobek pisarski ma wielki i ważki artystyczny. Kilkanaście krótkich utworów poety — pisarza zawartych w tomie „Niejaki Piórk” przypomina bardzo świat Kafki.

Sara Nomborg - Przytyk: KOLUMNY SAMSONA. Lublin 1966. Wyd. Lubelskie, s. 163, cena 14 zł.

Są to wspomnienia z getta białostockiego, w którym autorka znalazła się tuż po jego powstaniu i przeżywała do chwili jego likwidacji. Wspomnienia nie tylko oddają dokładnie sytuację i atmosferę

panującą w getcie, ale również pokazują wiele sylwetek ludzi, z którymi autorka przeżywała.

Zbigniew Kiwka: DWIE BARWY JEDNEJ WIOSNY. Wwa 1966. MON, s. 209, cena 10 zł.

Jest to trzecia z kolei pozycja prozatorska 34-letniego pisarza, stale zamieszkałego w Słupsku. Omawiana jest opowieścią wojenno-przygodową, której akcja rozgrywa się w ostatnich miesiącach II wojny światowej. Jej treścią są przygody dwóch lotników polskich, którzy walczą o zdobycie Wąhu Pomorskiego.

Martin Walser: MAŁŻEŃSTWA W PHILIPPSBURGU. Przel. Maria Kłos - Gwizdańska. Wwa 1966 PIW s. 365, cena 20 zł.

Autorem, jeden z najwybitniejszych współczesnych pisarzy zachodniemieckich, stworzył powieść o życiu „wielkiego świata” w swoim kraju. Pisze o tym z wielkim zacięciem satyrycznym. Powieść nagrodzona w roku 1957.

Julian Przybysz: LIRYKI 1930-1964. Wwa 1966 PIW s. 209, cena 15 zł.

Nowy tomik z serii „Biblioteka poetów”. Starannie wydany, poprzedzony wstępem Artura Sandaera, obrazuje fragmenty twórczości jednego z najwybitniejszych poetów współczesnych.

Franciszek Karpiński: WIERZYSZE WYBRANE. Wwa 1966 PIW s. 161, cena 15 zł.

Zbiór wierszy znanego poety — przedstawiciela polskiego sentymentalizmu. Przeważają sielanki i wiersze miłosne. Wstęp: Jan Kott. Seria: „Biblioteka poetów”.

A drugie śniadanie warto wziąć ze sobą

Tego dnia Józio był w wyjątkowo dobrym humorze. Kończył pracę, wyłączył mózg elektronowy. W perspektywie trzy dni wolnego czasu. No i najnowszy model „Piasta Super”. Wziął go co prawda na raty i choć był już zadłużony, specjalnie się nie przejmował, ma troje dzieci, wykształcił je fabryka, da im pracę i spiacą.

Wóz był elegancki, sylwetka romboidalna, w turbinowym silniku drzemato 400 mechanicznych koni, 360-stopniowa horyzontalna szyba tworzyła z „Piasta” wytworny środek lokomocji. Oko Józia przez chwilę popieściło samochód, a przez głowę przemknęła myśl — sąsiadzi przysiadą z zazdrości. Nabrał pełną pierś powietrza, otworzył drzwi, wygodnie usiadł, zapalił silnik i miękko ruszył. Przy wejściu na główną autostradę tloki, musiał czekać. Wreszcie dostrzegł lukę i jak pocisk ruszył do przodu. Miał szczęśliwy dzień, szybko przesunął się do środka 16-strumieniowego sznura pojazdu, tu jechało się najszybciej. Szalony pęd miał w sobie coś pasjonującego, poczuł się szwoleżerem, zagrażył w nim echa słowiańskiej krwi. Gaz do dechy i do domu, zapakuje dzieci, żonę i pozostałą rodzinę i jechał nad morze.

Wygodnie rozparł się w fotelu, zapalił papierosa. Teraz coś przegrzemy, pomyślał i do domu. Rozglądał się za jakimś barem czy kioskiem, owszem były, tylko trudno było z parkowaniem. Ostatecznie nie tu, to gdzie indziej, wszystko jedno. Znow zapalił, był głodny, ale do ko-

lacji wytrzyma. Zrobił jeszcze jakieś 150 km, dla wozu to drobiazg, trochę dalej skręcił w 78 aleję i z innego kierunku przyjeżdża do domu. Wypalił jeszcze trochę, był potwornie głodny, miał pecha, nie udało mu się skręcić w 78 aleję. Tymczasem minęło jakieś miasto, na dworze była szarówka, chciał przesunąć się bliżej prawego skraju strumienia pojazdów, nie wyszło, jeździł jak opętani pomyślał. Zaklął głośno, zadrżał pieszym przy kioskach, pił piwo, przełknął siłkę. Za miastem były góry, musiał je okrążyć, przemknął nad jakąś rzeką, dom pozostał na południu. Papierosy skończył się, a chciało mu się cholernie palić, widział na jakimś filmie jak palili „skrety” w gazetach, jednym szarpnięciem rozpruł siedzenie — gąbka. Swiatoło, ogolił się, przeciągnął jedno i drugie, i poczuł się lepiej. Teraz skręci jakimś manewrem na prawy skraj szosy, otworzy drzwi i wyskoczy. Pal diabli samochód, trochę się potłucze, ale w końcu zje. Jechali ciasno, zderzak przy zderzaku, drzwi przy drzwiach. Próba otwarcia drzwi nie powiodła się, a konstrukcja szyb nie pozwalała zajrzeć sąsiadowi do środka. Czujnie wpatrywał się w pojazd, jak tylko powstanie luka, gaz do deski, to jedyna możliwość wydobycia się z tego stada, ostatecznie może wrócić piechotą. Programy telewizyjne wydawały się potwornie nudne. Był wściekły, robił się drugi wieczór. Ze złości przycisnął gaz do deski, silnik nie pracował, czyżby jechał za darmo? Od jak dawna?

Skończyło się paliwo? Gwałtownie skręty kierownicą i szarpnięcie nie pomogły. Niosło go w tłumie. Ten w brązowym gruchocie przed nim to już pewnie nie żyje, pomyślał, przecież mógł umrzeć z głodu, przeraził się na samą myśl, to chyba halucynacje z głodu. Nawymyślał motoryzację, marzył o jakiejś wyprawie w jezdną, o jakichś robotach drogowych, krakisie, nareszcie by się zatrzymali — niestety.

Puścił kierownicę, zdjął nogę z gazu, wyłączył biegi, był wolny, przesiadł się na boczne siedzenie, bawiła go jazda z nikim przy kierownicy. Zdrzemnął się, sniły mu się rzeki, drzewa, zerwał się na widok nieistniejącego jedzenia. Otrząsnął się, przeszedł na tylne siedzenie, mógł liczyć jedynie na przypadek. Nie mógł doliczyć się dni tej przekłetej jazdy. Usnął.

Na biurku zadzwonił telefon — może pójdzie pan trochę popstrykać, mamy nową akcję. Zgodziłem się. W poprzek jezdną zawieszony był mostek, po nim na szynach jeździł wózek z hydraulicznym harpunem. Strażacy wpatrywali się w sznur samochodów. Sierżant krzyknął — czarny na ósmym. Wózek podjechał, skierował łufę i wypalił w sam dach. Dźwąg wyciągnął go jak dużą rybę. Otworzyli drzwi, dobrze zachowany był skórzany kapelusz. Już celowali w następny.

W lukę natychmiast wypadł z bocznej ulicy najnowszy model „Super Piasta Comb”.

S. KOT.

Mały felieton

Chcę dzisiaj napisać o trudnościach zawodowych dziennikarza, u którego redaktor naczelny zamówił felieton, taki jak ten właśnie mały felietonik na trzydziestu wierszy.

Felieton jest formą dowcipną i nie smutną. Taki powinien być. Ale życie nie jest spacerkiem po perskich dywanach i nie zawsze można pisać wesoło.

Mam jednego kolegę, który lubi się pośmiać, znam go od piętnastu lat, w każdej niedzielę jadamy razem śniadanie, i za każdym razem ten człowiek opowiada mi te same wspaniałe anegdoty o dziewczynie, która miała owłosione łydki. Kolega opowiada z talentem i świetnie się przy tym bawi. Czy innych to bawi? Cóż go to obchodzi...

Pewien redaktor nie chciał opublikować mojego opowiadania o obozie w Oświęcimiu. Powiedział, że to zbyt smutne, czytelnicy nie lubią smutnych kawałków.

I może miał rację. Autorzy powinni pisać tak, żeby podobało się ludziom wesołym i ludziom smutnym, starym i młodym, wierzącym i ateuszom, mądrym i głupim.

Jeden autor przyniósł do naszej redakcji felieton na temat sytuacji o handlu warzywami i owocami. Zaczynał się ten felieton dość patetycznie:

— Znasz li ten kraj, gdzie cebula dojrzewa...

Oczywiście, chodziło o cytryny, nie o cebule. Nasz naczelny redaktor chciał tego autora zamordować. A nie miał racji. Cebula też ma dużo witamin i jest znacznie tańsza...

KALMAN SEGAL